NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 3 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

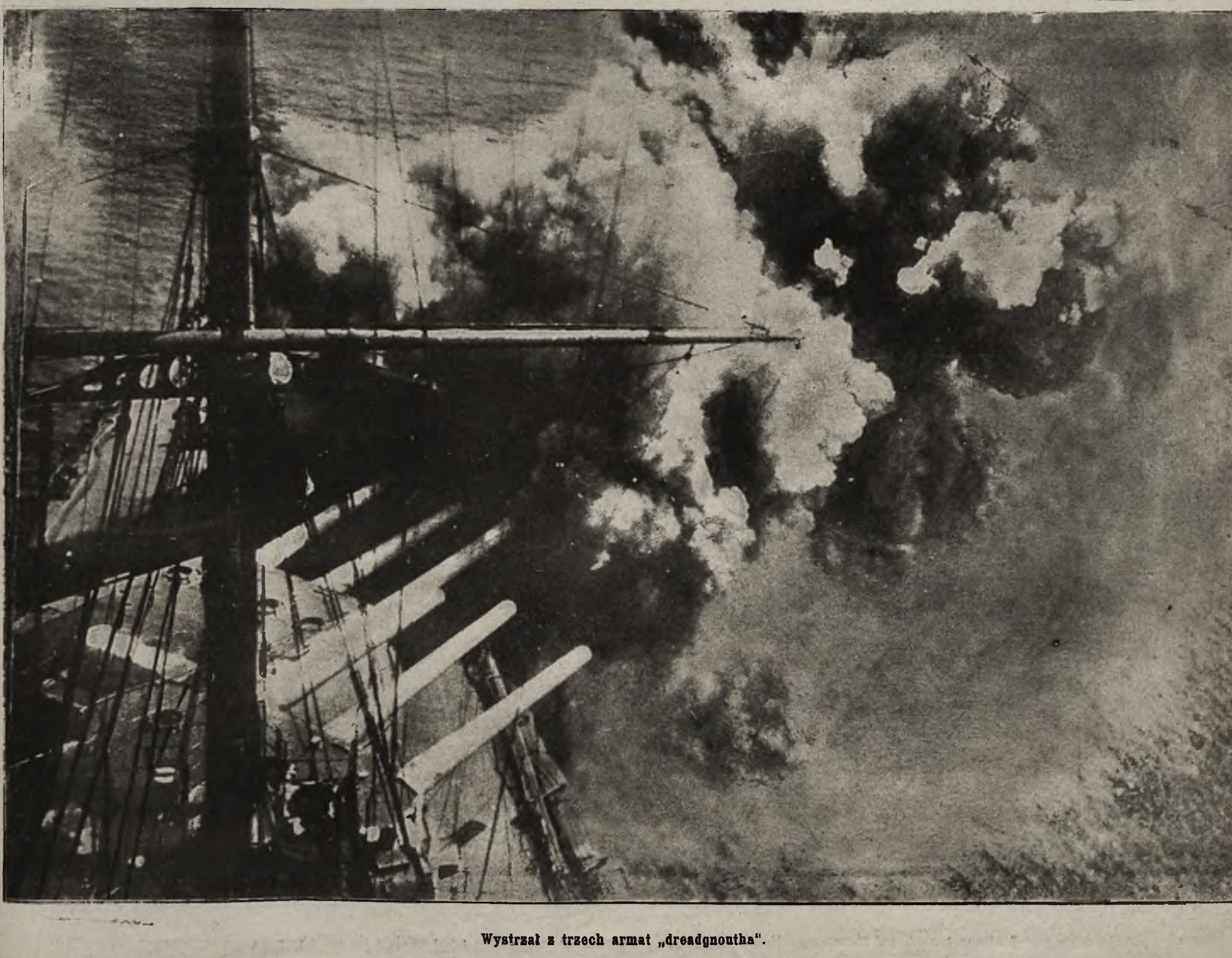
Wyłaczne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 5 lutego 1916. Nr. 6.

Z walk na morzu.



Wystrzał z trzech armat „dreadgnoutha".

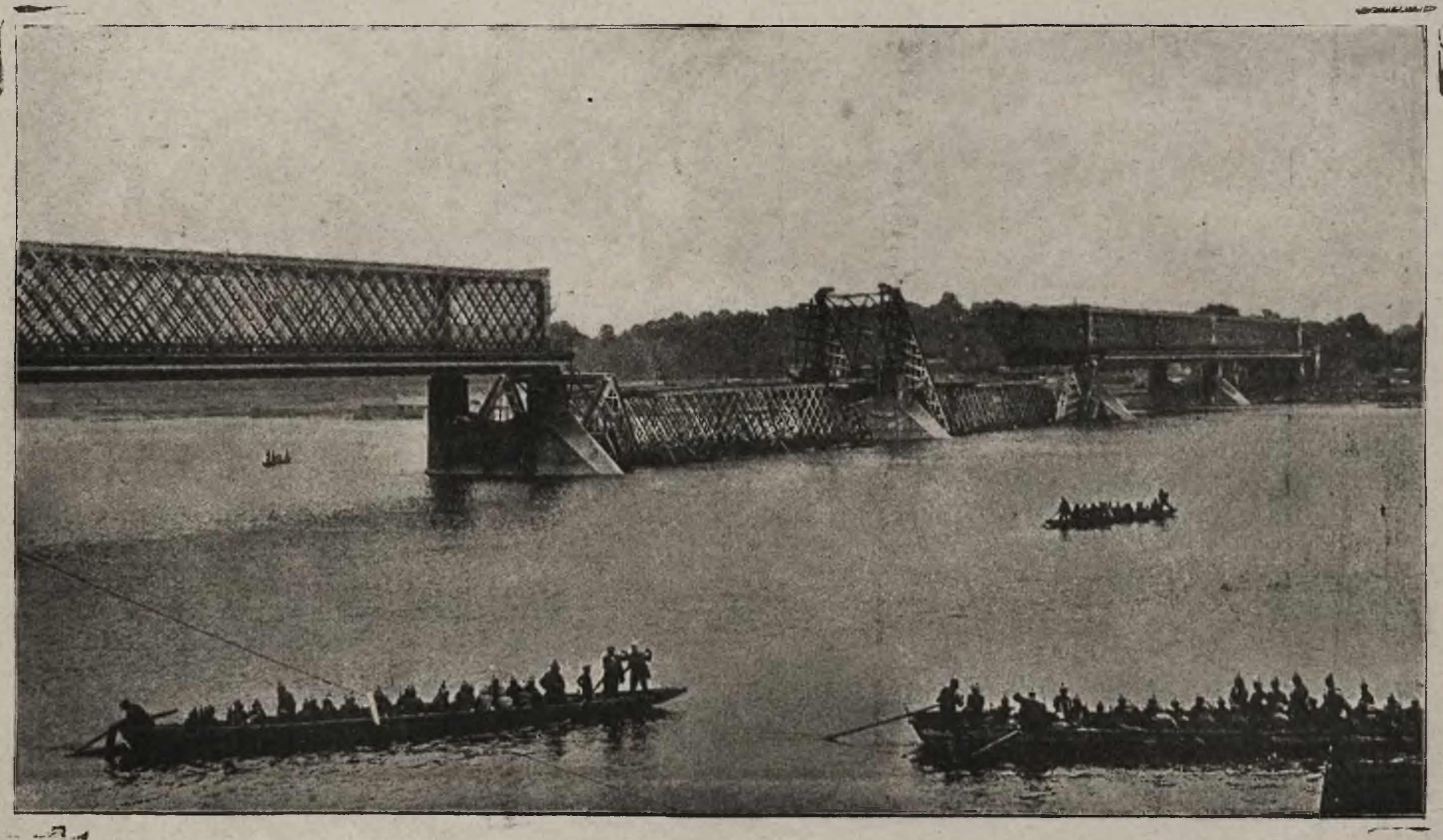
Treść numeru: Z historycznych dni Warszawy. — Ks. biskup Bandurski wśród Legionistów. — Z minionych walk. — Akcya oświatowa w Królestwie Polskiem. — Echa świąt wojennych i t. d.

Z walk na morzu.

O obecnej wojnie można śmiało powiedzieć, że odbywa się na lądzie, wodzie i w powietrzu. Na lądzie operują milionowe armie, w powietrzu krążą Zeppeliny i całe eskadry aeroplanów najrozmaitszych systemów, po morzu uwijają się łodzie podwodne i setki okrętów wojennych, z których każdy nazwać można pływającą fortecą.

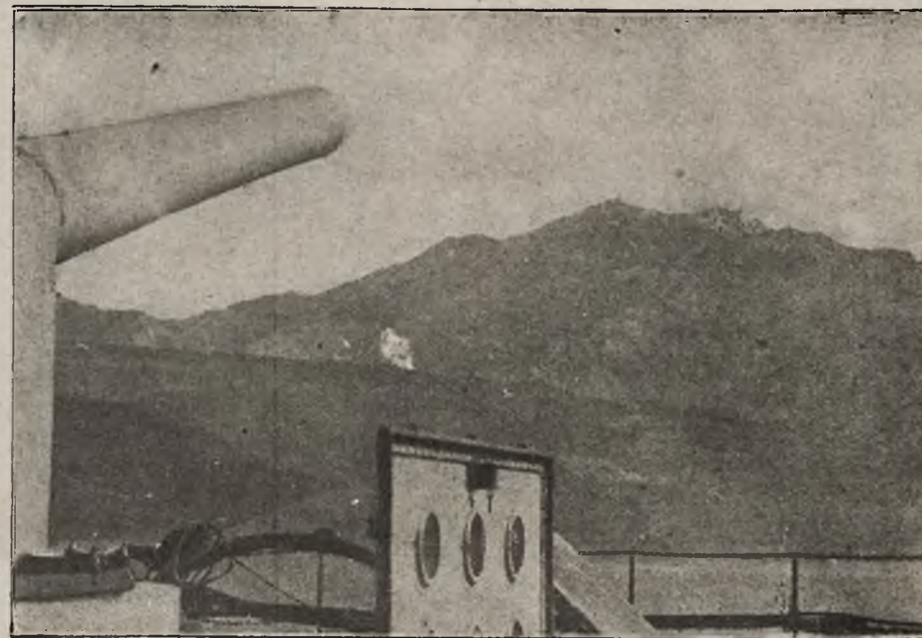
Austryacko węgierska flota, aczkolwiek liczebnie nie dorównująca żadnej z nieprzyjacielskich, w czasie półtorarocznych zmagań się z wrogiem miała już niejednokrotnie sposobność wykazania swej sprawności i głównie dzięki jej współdziałaniu udało się tak rychło zdobyć górę Łowczen, uważaną dotąd za pozycyę nie do zdobycia.

Równocześnie z operacyami wojsk lądowych rozpoczęły nasze okręty wojenne gwałtowną kanonadę



Z historycznych dni Warszawy: Most Kierbedzia po wysadzeniu go w powietrze przez cofającą się armię rosyjską.





Eskadra austryacka w czasie wyjazdu. **Z walk na morzu:** Ostrzeliwanie góry Łowczen z austryackiego okrętu.

od strony morza. Ogień ich był tak silny, że Czarnogórcy musieli zrezygnować z dalszej obrony i cofnąć się poza donioslość strzałów, a w ślad za nimi postępowały nasze dzielne zastępy i zajęły ich pozycye.



Z historycznych dni Warszawy: Uroczysty wjazd do Warszawy ks. Leopolda bawarskiego.

Zaznaczyć należy, że kilkakrotnie już spotykały się nasze okręty wojenne z przeważającemi siłami nieprzyjacielskiemi, zawsze przecież udało się im wyjść obronną ręką tak, że można śmiało powiedzieć, iż dotąd flota nasza właściwie żadnych strat nie poniosła, gdy tymczasem przeciwnej stronie wyrządzono szkody bardzo poważne. Zwłaszcza nasze łodzie podwodne są postrachem dla nieprzyjaciela i utrzymują go w należytem oddaleniu od brzegów monarchii.

Duch między żołnierzami marynarki panuje jak najlepszy, każdy z nich jest przekonany, że ostateczne zwycięstwo będzie po naszej stronie, i że w niedługim już czasie uda się oczyścić Adryatyk od nieproszonych gości, którzy przecież nie mają odwagi wdać się z naszą flotą, aczkolwiek liczebnie słabszą, w otwartą wojnę. W toczącej się obecnie, niejako podjazdowej, przewaga jest stanowczo po naszej stronie.

Z historycznych dni Warszawy.

Wśród tylu epizodów i przełomowych momentów wojny obecnej, najdonioślejsze niewątpliwie ma dla nas znaczenie zajęcie Warszawy przez wojska niemieckie w dniu 5 sierpnia 1915. roku. Z hasłem wy-





Z historycznych dni Warszawy: Medal pamiątkowy, wybity w Bawaryi na pamiątkę zajęcia Warszawy przez wojska ks. Leopolda bawarskiego.



Z historycznych dni Warszawy: Zburzony przez Rosyan most kolejowy na Wiśle.

swobodzenia stolicy Polski z pod jarzma rosyjskiego, szły w bój nasze oddziały legionowe na początku wojny. Z tem samem pragnieniem szły polskie pułki armii austro-węgierskiej, które okryły się sławą już przy pierwszych walkach na ziemi Królestwa Polskiego. Lecz wojna jest zawsze pełną niespodzianek. Po roku dopiero zaciętych walk na ziemiach polskich, po wypędzeniu Rosyan z Galicyi i Prus Wschodnich,



Z historycznych dni Warszawy: Ks. Leopold bawarski (X) rozmawia z komendantem Warszawy hr. Hutten-Czapskim (XX)

nastąpiło ostateczne przełamanie linii rosyjskich i całkowite opanowanie Królestwa Polskiego wraz z Warszawą, którą zajęły wojska niemieckie. Na szczęście przy zdobyciu Warszawy obeszło się bez większych walk, gdyż Rosyanie cofnęli się przed napierającemi wojskami, wysadziwszy przedtem w powietrze mosty na Wiśle, łączące Warszawę z Pragą. Gdy w samej Warszawie pojawiły się pierwsze patrole niemieckie, nie było już po lewej stronie Wisły ani jednego żołnierza rosyjskiego. Tylko na przeciwnym brzegu, na Pradze, ostatnie oddziały rosyjskie, aby





Z historycznych dni Warszawy: Srebrny medal, wybity w Niemczech dla upamiętnienia zdobycia Warszawy.

opóźnić przeprawę przez Wisłę, stawiły krótki opór, zasypując gradem kól z karabinów maszynowych ulice Powiśla. Po walce tej, która pochłonęła kilkanaście ofiar i uszkodziła kilka domów, między innemi wznoszący się nad brzegiem Wisły Zamek Królewski, ostatnie placówki rosyjskie ustąpiły z Pragi. Po stu latach panowania Rosyanie opuścili stolicę Polski, rozpoczynającą nowy okres swych dziejów pod panowaniem niemieckiem. Ludność Warszawy zdawała sobie sprawę z doniosłości tego dziejowego wydarzenia. Pomimo gęsto padających strzałów tłumy wyległy na ulice i niebacząc na niebezpieczeństwo, przypatrywały się wkraczającym do miasta oddziałom wojsk bawarskich. Mieszkańcy Warszawy czuli, że przeżywają chwilę historyczną i chcieli być jej świadkami.

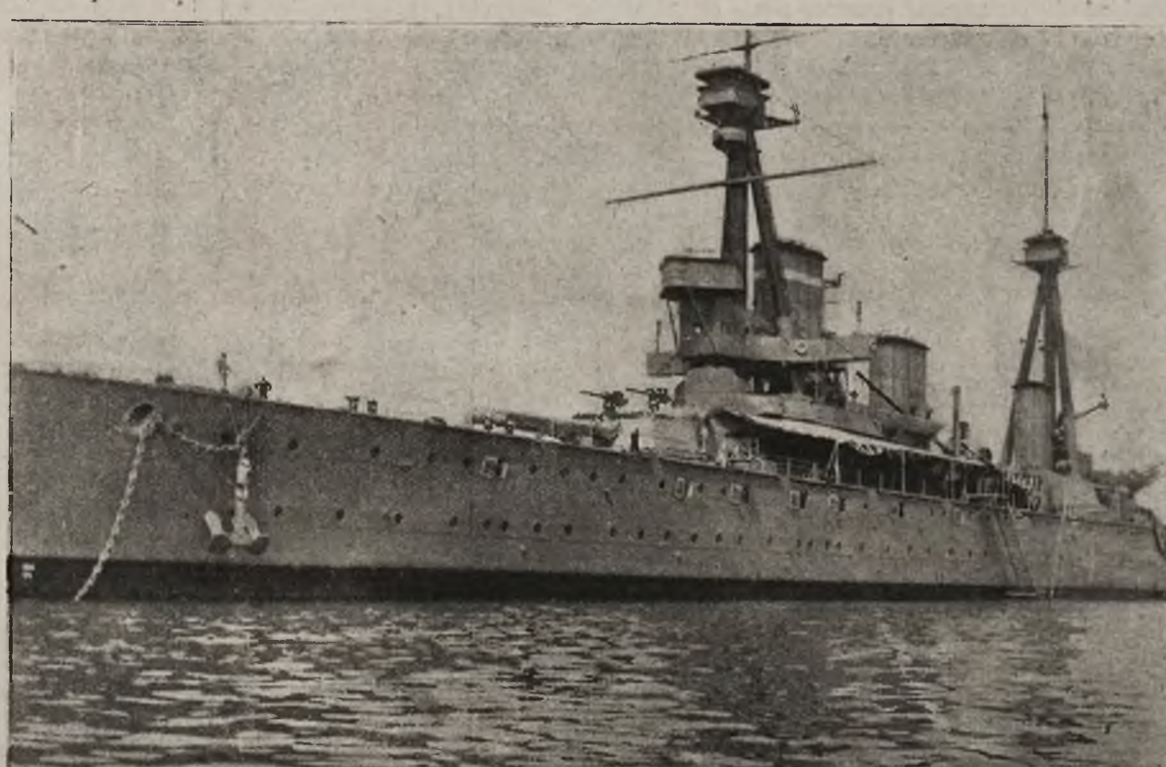
Wkrótce po ustąpieniu Rosyan i wkroczeniu pierwszych oddziałów wojsk niemieckich odbył się uroczysty wjazd do Warszawy naczelnego wodza armii, która zajęła stolicę Polski, ks. Leopolda bawarskiego.

Wojska niemieckie, wkroczywszy do Warszawy, były zdumione porządkiem tam panującym i silną organizacyą miejscowego społeczeństwa. Nie zastano ani śladu dezorganizacyi, ani śladu wpływów rosyjskich. Warszawa żyła swojem własnem narodowem życiem — posiadała swe władze, swój rząd (Komitet obywatelski) swą milicyę obywatelską, utrzymującą wzorowy porządek i karność we wszystkich dziedzinach życia publicznego.

Ta organizacya polska i dziś jeszcze, po objęciu zarządu cywilnego Warszawy przez władze niemieckie, oddaje nieocenione usługi ludności, stojąc na straży jej potrzeb w krytycznym okresie wojennym i broniąc słusznych praw narodu polskiego. Jakiemi potoczą się drogami dalsze losy Warszawy — najbliższa przyszłość okaże. Dziś możemy jedynie zanotować kilka momentów z tych „historycznych dni“, które przeżyła stolica Polski w pierwszej połowie sierpnia 1915. roku. Illustrują je zdjęcia, zamieszczone w poprzednim i dzisiejszym numerze.



Z historycznych dni Warszawy: Ks. Leopold bawarski ze świtą przed cerkwią na Placu Saskim.



Z walk na morzu: Angielski okręt „Inflexible“, zatopiony przez austryacką łódź podwodną.

JÓZEF LASOŃ.

DZIWAK...

(Z cyklu: LEGIONY).

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

Kompanijne nazwisko jego brzmiało: „Geolog". Był wybitną jednostką w III-cim batalionie II gim pułku II ej brygady. Nie mogę jednak rzec śmiało, że każdy z żołnierzy i oficerów sylwetkę tą znał, gdyż mimo, że się nieraz w jednej kompanii służy, nie wszyscy mają czas zawrzeć znajomość.

Tak też miast nazwiska, zawód jego stał się jego nazwiskiem i pod tem mianem pozostał aż do ostatnich chwil.

Więc proszę sobie wyobrazić człeka, któremu skóra przylgnęła do ciała, jak tapeta do ściany, lata pracy i studyowania przyrody wyniosłą przygarbiły postać, rzekłbym, stosownie do zawodu nagięły, początkową literę „G" zawodu z postaci uczyniły. Twarz pociągła, zasuszona, jakgdyby roślina w teczce przyrodnika, zwichrzone zawsze włosy, wystające kości policzkowe, nieodłączone okulary, które przy każdem schwytaniu owada, lub egzotycznej jakiejś roślince ustępowały miejsca grubej soczewce, oprawnej w srebrną klamrę, z rączką z kości słoniowej. Oczy niebieskawe, energicznie biegające na wszystkie strony, dziwnie się odbijały od powolnych, flegmatycznych ruchów ciała wiecznie przygarbionego.

Otóż proszę sobie wyobrazić postać taką, ubraną w siwy mundur Legionisty, który jak wór okrywał geologa, z tornistrem na plecach ciężko wyładowanym, z karabinem w dłoni, no i z teczką na rośliny pod pachą i pudełeczkiem na owady i motyle...

Więc zacny geolog, gdzieś w Szwajcaryi za ćmami goniąc, zaskoczony został wojną, i jak go wojna zaskoczyła, tak ruszył w szeregi Legionu i z plutonem szwajcarskim przybył roku zeszłego do Krakowa, a następnie z I. brygadą ruszył na polskie boje.

Więc prócz potrzebnych żołnierzowi przyborów, o które zresztą mało dbał, gdyż miesiącami butów nie potrzebował czyścić i zmieniać bielizny, wypakował plecak przyborami przyrodnika i botanika, wielką skórzaną teczkę napełnił bibułą i papierem i poszedł walczyć i kształcić się w dalszym ciągu.

Żołnierzem był wcale dobrym. Jeśli miał jakie zmartwienie, to to, że zima nadchodzi, ćmów, motyli, robaków i roślin nie będzie, stanie więc na martwym punkcie swojej naukowej pracy.

Rozkaz każdy starał się i wypełniał sumiennie, z taką flegmą, jakby chodziło o zbadanie danej rośliny, idąc na służbę patrolową lub wywiadowczą, starał się zawsze jak najlepiej powierzone zadanie wykonać, zbadać...

W chwili wkroczenia Legionu na Podkarpacie węgierskie, gdy rozpoczęły się długie, uciążliwe marsze, geolog rozpływał się z radości, gdyż miejscami znajdował ciekawe okazy roślin, które skwapliwe konserwował.

W zacnem tym dziele pomagać mu poczęli, więcej ze swawoli, niż aby się przysłużyć, koledzy broni, znosząc, co tylko w drodze im wpadło w ręce. Początkowo objaśniał, że jest to taka lub owaka odmiana, lecz wkońcu połapał się na figlach kolegów, którzy stosami poczęli znosić rozmaite ziela, owady i trudzić go natarczywemi pytaniami.

W marszu odpoczynek pod lasem. Już zapowiedziano zbiórkę, już plutonami przegląd, stwierdzono, że geolog znikł. Dopiero po lesie patrol rozesłano, która sprowadziła obwinionego z pękiem roślin pod pachą.

Nic dla niego, że Moskale na karku siedzą, że trzeba skupić energię i wolę w sobie, on najspokojniej roślinki w teczkę układa, a gdy zagrzmi głos komendy, chwyta za karabin i strzela.

Niedbały był strasznie, rzekłbym niechluj, nic też dziwnego, że robactwo zagnieździło się nie tylko w pudełeczku na owady, ale i w bieliźnie. Kapitan Dziekanowski, podówczas komendant tejże kompanii, nieraz zwracał mu uwagę, ale bezskutecznie.

Więc raz raport. Przegląd żołnierzy.

Geolog w plutonie. Hiszpanka jego od nieczystości jeszcze więcej ściemniała, nieodstępna teczka pod pachą...

— Baczność! — komenderuje Dziekanowski.

Geolog wypręża się, jednakże po chwili ręką sięga za pazuchę...

— Co jest z wami!? „Baczność!"

— Melduję posłusznie, ale mnie coś gryzie!

— Gryzie was? Ja daremnie nie będę was przynaglał do porządku i czystości!

Odkomenderowano czterech ludzi i ci wymyli szczotkami zacnego geologa. Zgłosił się po tej operacyi uszczęśliwiony i w gorących słowach podziękował porucznikowi za kąpiel, gdyż sam nie miał czasu tem się zająć z powodu sortowania roślinek.

Na drugi raz zgubił buty, czy też gdzieś zostawił, dość, że mu dano kolosalnie długą parę lakierów, którą szewc batalionowy gdzieś zdobył. Przegląd, znów porucznik z geologiem ma sprawę.

Stał na lewem skrzydle, gdy więc podano komendę do równania, buty geologa wystawały, rażąc linię żołnierską.

Komendant plutonu i tak i owak równa, nie może jednak dojść do ładu, bo albo nogi wystają za dużo, albo piersi geologa gdzieś ukryły się na lewem skrzydle.

— Co ja z wami mam zrobić?! — krzyknął wreszcie zniecierpliwiony, gdyż lada chwila miał pułkownik nadejść i przeglądnąć szeregi.

— Panie komendancie — z flegmą odparł geolog — to ja utnę trzewiki, albo zdejmę zupełnie.

Nocny alarm, zbiórka. Plutonami stoją kompanie, gotowe do wymarszu. Geolog znów ofiarą. Nogawica jedna obcięta, owijaki nie dobrze ściśnięte na kolanie, spadają z nóg, guziki od płaszcza oberwane.

Okazało się z raportu, że geolog prędko biegł na zbiórkę i z pospiechu drzwiami od kwatery trzasnął i przyciął spodnie, a ktoś obciął nożyczkami jedną nogawkę. Geolog tego nie spostrzegł i wdział...

Ale teczka pod pachą zawsze w porządku była, o niej nigdy nie zapominał.

Koledzy jego, urwisze nielada, namówiwszy się nieraz, po kolei znosić poczęli znalezione zbiory w olbrzymich ilościach, naturalnie bezwartościowe, a więc: kawał olbrzymiego piaskowca, gałąź dębową lub inną i z tryumfem wręczali geologowi.

— Obywatelu! Znalazłem wielki minerał!...

— Jaki, jaki? — ciekawie pytał geolog.

— Oto jest! — to mówiąc kilkunastokilowy kamień z plecaka wydobywał i śmiejąc się podawał geologowi.

— Taż to zwyczajny piaskowiec! — z oburzeniem mówi geolog, patrząc podejrzliwie w oczy koledze.

— Tak, piaskowiec? — niewinnym głosikiem, tłumiąc w sobie śmiech, odpowiedział figlarz — A ja myślałem, że to, Bóg wie, co!

— Piaskowiec składa się... — rozpoczynał wówczas geolog, no i półgodzinny referat wygłaszał o piaskowcu.

Najwięcej do czynienia i do irytacyi miał wieczorną porą na kwaterach, gdy mu poczęli znosić robactwo, wyciągnięte zza... kołnierza. Wtenczas soczewka wędrowała z rąk do rąk, „przyrodnicy" udając zaciekawienie, rozwodzić się poczęli nad poszczególną budową części ciała danego robaka i już geolog sam, nie wiedząc kiedy, wygłasza referat o zwierzątku, ku uciesze swawolnych żołnierzyków, którzy tą całą komedyę poto tylko odegrali, aby naciągnąć geologa na wykład.

No i pewnego dnia, w pustynnej Besarabii, przy przedostatnich walkach, geolog dostał się do niewoli rosyjskiej. Leżąc w okopie, widocznie znalazł osobliwy jakiś gatunek rośliny, czy owada i soczewką rozpoczął badania. Nie dosłyszał komendy, zapowiadającej wycofanie się i wraz z teczką zielnikiem, pudełkiem na owady, przeszłorocznymi zbiorami i zdobytymi okazami dostał się do niewoli.

Chyba w tak oryginalny sposób Rosyanie nigdy dotąd nie zdobyli jeńca, zajętego badaniem roślinki, czy owada podczas gradu kul i wściekłego ataku na bagnety.

Geolog z okazami i zbiorami dostał się do niewoli, pozostała jednak sylwetka jego w duszy każdego, który go znał.

Geolog, żołnierz II ej brygady Legionu...

Chrzest ognia.

Cóż mają robić dwie bratnie dusze, spotkawszy się wzajem? Cóż, jeśli nie o przebytych trudach wojennych opowiadać. Toć przecie najpiękniejsza karta życia każdego żołnierza, który wojnę przeżyć zdoła.

Gdy spotkało się dwu Legionistów w chacie wiejskiej, jeden z nich, w krótkich i treściwych słowach, począł opowiadać dzieje swe żołnierskie:

— Wyruszyłem — szeptem mówił, by nie przerywać snu rodzinie chłopskiej — 6. sierpnia, jako piechur, z pierwszą kompanią kadrową. Było nas 160, tylu, ilu właśnie było podchorążych w „Noc belwederską". Komendę kompanii objął Kasprzycki, obecnie kapitan sztabowy przy brygadzie Piłsudskiego. Dnia 8. sierpnia zajęliśmy Miechów. W monopolce miechowskiej sformowały się ponownie kompanie i wraz z kompanią Zosika i w plutonie Tatara wyruszyliśmy przez Jędrzejów na Kielce. Ludność kielecka radośnie nas przyjęła, jednakże znać było na niektórych obliczach trwogę, że taka garstka żołnierza polskiego ze śpiewem przeciągała przez ulice miasta. Skierowaliśmy się ku dworcu kolejowemu, naprzeciw nas wyszedł urzędnik kolejowy, wręczając nam klucze. Po chwili z okna budynku upadł portret cara i carowej, jako znak widomy, że wojnę polski żołnierz niesie Rosyi. Zaledwie łyk herbaty niektórzy mogli wypić, gdy nagle zaalarmowano pluton i posypały się gęste strzały w ulicach miasta. Atakowano nas. Z hukiem nadciągnął automobil rosyjski, z którego posypały się kule karabinu maszynowego. Obok niego pędziła doróżka z oficerem austryackim i Legionistą. Dopiero, gdy dorózka skręciła i zboczyła poza linię ognia, sypnęliśmy salwę w stronę automobilu.

Błyskawicznie automobil zawrócił, dopadliśmy do bryczki. Oficer austryacki został zabity, strzelec zaś lekko ranny. Od niego dowiedzieliśmy się, że oficer ten uwiadomić nas chciał o kozakach będących w mieście i padł ofiarą swych obowiązków, rażony kulą moskiewską. Belina krzyknął: „Kto na ochotnika!" Sieroszewski pierwszy dał przykład, porwał za karabin i sprężyście, z energią młodego żołnierza stanął przed Beliną. Około dziesięciu ochotników i żołnierze Beliny ruszyli w ulicę, by zaatakować kozaków. Nad całością objął komendę Świętopełk i po rozrzuceniu linii tyralierskiej, oczekując większego ataku, zaczęliśmy się ostrzeliwać. Tak trwało do godziny 9 tej wieczór, a po objęciu komendy przez szefa sztabu Sosnkowskiego, cofnęliśmy się pod Karczówek do dworku Nowaka. Jeśli co wówczas uderzyło mnie i czego do grobu zapomnieć nie zdołam, to wzrok Sosnkowskiego, w którym raz spokój stalowy się przejawiał, drugi raz ogień zapału z oczów tych wyglądał. Na stacyi pozostał Herman z garstką ludzi, celem obrony tejże, myśmy zaś, znużeni całodziennym marszem, z bijącym sercem czekali na dalszy bieg wypadków. W kilka godzin później, jako ordynans Sosnkowskiego, zaniosłem rozkaz wysadzenia mostu wyznaczonym do tego żołnierzom. Wracając natrafiłem na adjutanta Felsztyńskiego, który przyszedł z zawiadomieniem, że nadchodzi pomoc konnego Sokoła ze Lwowa, pod dowództwem Śniadowskiego, dzisiejszego kapitana artyleryi. Pomimo, że garstka konnicy tylko w pomoc przyjść miała, rozjaśniło się zachmurzone oblicze Sosnkowskiego. O czwartej rano zbudził nas huk wysadzonego mostu kolejowego. Rannym brzaskiem dookoła, w linii tyralierskiej, rozciągnęliśmy się, nie wiedząc, z której strony zaatakują nas Moskale. O ósmej godzinie otrzymaliśmy chrzest kul armatnich. Ostrzeliwała nas bateryja z pobliskiego wzgórza lesistego. Przez dwie godziny zasypywano nas pociskami armatniemi, poczem dokonaliśmy odwrotu, bez straty żołnierza, odwrotu, który wybitni oficerowie austryaccy uznali jako „majsterstück" wojenny. Pomimo gęstych strzałów padających, ludność tamtejsza wynosiła nam z domów wodę, mleko i chleb, nie bacząc zupełnie na huczące za nami strzały armatnie. Oto tak — kończył ułan — dostałem pierwszy chrzest ognia.

Zmęczony, ziewnął przeciągle, w słomę wkręcił się jak mysz, spychając mnie na ziemię.

— Hej, ułanie, tylko bez ataku w nocy! — roześmiałem się, usiłując zdobyć sobie pozycyę na słomie. Ale ułan chrapiąc przeciągle, drwił sobie z moich wysiłków, wywijając od czasu do czasu rękami. Widocznie we śnie szarżował nieprzyjaciela.

Ks. biskup Bandurski wśród Legionistów.

(Korespondencya własna „Nowości Illustrowanych").

Piotrków, w styczniu.

„Biskup polowy" Legionów polskich — jak nazywają Legioniści ks. Bandurskiego — wracając z frontu od brygady walczących na wschodzie, zatrzymał się przez dni kilka w Piotrkowie i Kamieńsku.

Oba miasta Królestwa Polskiego doczekały się niezwykłych i rozrzewniających chwil. Witały w swych murach biskupa polskiego, błogosławiącego młodym żołnierzom polskim, których on dziś najlepszym przyjacielem i orędownikiem. Wzruszające były obrazy, kiedy Pasterza z żołnierską prostotą witały na dworcach kolejowych oddziały szarych Legionistów, czerwone rabaty ułańskie i tłumy miejscowego mieszczaństwa i ludu. „Witaj nam Biskupie Legionów polskich"! widniały napisy na bramach z zieleni i wstęg biało-czerwonych, ręką żołnierzy rekonwalescentów wzniesionych. Pospieszyły reprezentacye władz legionowych i miasta; przybyły gromady ludu okolicznego nawet z dalszych stron, dowiedziawszy się, że niezwykły gość do miasta przybywa. Ruch w mieście się ożywił. Tłumy ciągnęły do kościoła i przed koszary Legionów, by ujrzeć czcigodną postać wielkiego patryoty, by posłyszeć błogosławieństw i gromów tego złotoustego kaznodziei. A prorocze sieje On słowa. Wielkie wezwania miłości, nadziei i wiary.

Słowa Jego, gdziekolwiek przemawiał, brzmiały jak najsłodsze ukojenie dla serc cierpiących i znękanych, jak pobudka bojowa dla dusz niezłomnych, rwących się naprzód w piekielny wir walki i śmierci, grzmiały jak grom piorunonośny, chłostały jak bicz Chrystusowy wszelką ospałość i trwogę, egoizm, warcholstwo i butę.

A nie szczędził ksiądz biskup sił swych i serca. Z właściwym sobie zapałem i znanem poświęceniem kapłana i sługi Polski nie pominął żadnej sposobności, by słowem podniosłem i myślą najczystszą ożywić ducha w zmęczonych i zwątpiałych, dodać mocy wytrwania tym wszystkim, co stanęli raz na posterunku. Przemawiał w katedrze „trybunalskiego grodu" z mocą i ogniem iście Skargowskiego natchnienia. Przemawiał w Departamencie wojskowym N. K. N., wieczorem zaś na przyjęciu miasta wobec tłumów zebranej intelligencyi, mieszczan i obywatelstwa ze wszystkich stron Piotrkowa, głosząc z dumą rycerza, co walczy za świętą sprawę, hasło uświadomionej, orężnej walki

Płomiennem słowem zachęcał, pocieszał, łzy koił, zapalał i umacniał wszystkich, którzy spieszyli ku niemu, jak do ojca, od prostego chłopa w siermiędze do „braci szlachty" i panów z obywatelstwa.

Nie zapomniał czcigodny biskup o żadnej placówce pracy narodowej czy społecznej. Gdziekolwiek wre gwar zabiegów około polskiej sprawy, gdziekolwiek odzywa się warsztat pracy codziennej i żmudnej — wszędzie on zajrzał, wszędzie spieszył z ojcowskiem swem słowem, radą i wsparciem, jako prawdziwy Pasterz, co stada swego dogląda, czuwa nad niem i je miłuje — i o najbiedniejszej nieza-pominając owieczce.

Zwiedził biskup Bandurski nie tylko Departament wojskowy z całą, ogromną machiną jego warsztatów pracy, ale i miejscową Komendę placu i koszary załogi piotrkowskiej i oddział polskich ułanów, wszędzie oprowadzany przez niestrudzonego zastępcę szefa Departamentu, porucznika A. Biłyka. Zwiedził też z największą dokładnością bogate zbiory „Biura Prasowego" i archiwum jego, pełne najciekawszych dokumentów, efemeryd i unikatów wojennych i organizację Ligi kobiet. Zaglądnął i do oddziału technicznego i do statystycznego, przeglądał z wielkiem zainteresowaniem pouczające zbiory i plany akcyi oświatowej w Centralnem Biurze szkolnem, informowany przez kierowników biura, pp. Prausów. Osobny wieczór poświęcił organizacyi skautowej





Ks. biskup Bandurski wśród Legionistów: (Fot R. Adamowicz Dep. Wojsk.)

Ks. biskup Bandurski w towarzystwie porucz. Biłyka i podpor. Burzyńskiego w Piotrkowie. Ks. biskup Bandurski w otoczeniu pań z Ligi kobiet w herbaciarni dla Legionistów w Piotrkowie



Z polskich pobojowisk: Zbombardowany las z rosyjskimi rowami strzeleckimi pod górą Postronie w Gorlickiem. (Fot. T. Chmura).

w Piotrkowie, która w tych dniach właśnie odbyła zjazd swoich delegatów i obfite w skutkach narady, bo przeprowadzające jedność w organizacyi różnorodnych kół skautowych w Królestwie, centralizacyę pracy z siedzibą w Piotrkowie, oraz wydawnictwo organu własnego, p. t. „Wiadomości skautowe".

Ksiądz biskup znalazł czas i na poświęcenie lokalu organizacyi, jak nie mniej i na konsekracyę miejscowej ochronki, założonej przez „Komitet opieki nad ubogą dziatwą", oraz na „Wieczór Trzech Króli", zaaranżowany przez tenże sam Komitet dla piotrkowskich dzieci, gdzie barwne krasnoludki, niby stado szczebiotliwego ptactwa, zbiegły się dokoła czcigodnego kapłana.

Nie zapomniał wreszcie gość szanowny ani o drukarni Departamentu wojskowego, gdzie każdemu robotnikowi, każdej pracownicy uściskiem spracowanej dłoni dawał wyraz swego dla ich pożytecznego trudu uznania. Zwiedził też cenne zbiory miejscowego Towarzystwa krajoznawczego, którego prezes, znany historyk miasta Piotrkowa, p. Witanowski, wraz z sekretarką księdzu biskupowi służył za przewodnika. Szczególne zainteresowanie okazał gość dla rzadkich dokumentów królewskich, znalezionych w prywatnych szkatułach piotrkowskiego mieszczaństwa i ofiarowanych muzeum Towarzystwa. Słowami, jak zawsze, pełnemi płomiennej miłości Ojczyzny, uświetnił też księgę pamiątkową Towarzystwa, zapisując w niej swe imię.

Żegnany ze łzami w oczach przez ludność piotrkowską, której serca podbił od pierwszego zetknięcia, biskup Bandurski pospieszył na dalszy posterunek legionowy, nie mniej ważny i potrzebny — do Domu rekonwalescentów w Kamieńsku. Do głębi wstrząsająca była scena, gdy na dworcu kolejowym blizko tysięczny zastęp Legionistów polskich, przeważnie schorowanych i trudami wojennymi zbiedzonych, przywitał niezwykłego gościa gromkimi okrzykami: „Witaj, Biskupie polowy!", „Niech żyje Biskup Polskich Legionów!"

Witał Go kapelan Legionów, ks. Tomaszkiewicz, witał komendant Domu i komendant szpitala miejscowego, witali szeregowcy i oficerowie, witały kobiety i lud, mieszczaństwo i obywatele. A już wprost za serce chwytały i łzy cisnęły do oczu wzruszające sceny, kiedy ciężej chorzy, ranni, ociemniali i kalecy słowami czci i wdzięczności witali lub żegnali u progu swych sal szpitalnych dostojnego gościa.

— Księże biskupie, melduję posłusznie: dwustu pięćdziesięciu żołnierzy — sto siedmdziesiąt łóżek.

Tak brzmiały w przeważnej swej części meldunki żołnierzy-ozdrowieńców. I żal brał i litość i oburzenie na myśl, że ci bohaterscy żołnierze, którzy młodość swą, zdrowie, szczęście i życie ponieśli Ojczyźnie w ofierze, nie mają dzisiaj nawet dostatecznie wygodnego legowiska, w któremby swobodnie mogli odpocząć.

Przewielebny ksiądz biskup notował sobie skrupulatnie te wszystkie szczegóły niedomagań i braków w t. zw. tyłowych organizacyach legionowych, obiecując całą siłą swego wpływu i niezłomnej woli poprzeć starania Departamentu wojskowego o sanacyę niezdrowych stosunków.

Ksiądz biskup Bandurski odczuł całą głębią swego szlachetnego serca ciężką dolę Legionistów rekonwalescentów. To też nigdzie nie odezwał się w słowach tak pełnych jasnowidzącego natchnienia i miłości nieprzebranej, jak właśnie w tym schronisku polskiego tułactwa żołnierskiego. Zacne to serce rwał w kawały, duszy bogactwo rozbierał na garście, jakby niem chciał obdzielić te tysiące zbiedzonych, a każdą ranę, każde cierpienie uśmierzyć balsamem swojego współczucia...

— Chłopcze najdroższy, Bóg Ci nagrodzi stokrotnie tę ofiarę, jakąś poniósł dla biednej Ojczyzny — rzekł kapłan do Legionisty, co w walce wzrok postradał. — Pamiętaj, że przez ciemność oczu Twoich błyśnie niedługo światło wolności Twojej Ojczyzny, ujrzysz je oczyma Twej duszy, rado-



Ks. biskup Bandurski wśród Legionistów: Powitanie ks. biskupa Bandurskiego przy bramie tryumfalnej w Kamieńsku. (Fot. R. Adamowicz Dep. Wojsk.)





Ks. biskup Bandurski wśród Legionistów:
Ks. biskup Bandurski odprawia mszę w prowizorycznej kaplicy w Domu rekonwalescentów w Kamieńsku.
Odwiedziny ks. biskupa Bandurskiego w plutonie kawaleryi w Piotrkowie. (Fot. R. Adamowicz Dep. Wojsk.)



Z minionych walk: Uroczystość wręczenia medalu waleczności porucznikowi Wierzbickiemu. 1 generał 2. pułkownik 3. porucznik Władysław Wierzbicki w szeregu innych dekorowanych



Z minionych walk: Odjazd bateryi na front.

ścią spełnienia wielkiego wobec Ojczyzny obowiązku... Czy cierpisz bardzo?...

— Nie, księże biskupie, cieszę się, że żyję, dobrze mi, choć bez oczu, bo wiem, że sprawa nasza na dobrej drodze, kiedy Ty idziesz z nami.

I takich scen wzruszających przeżyliśmy wiele. Nie tylko w izbach lecznicy, gdy czcigodny kapłan błogosławił cisnącym się do niego na kulach i laskach żołnierzy inwalidów, ale i w mieście i na ulicach i w kościele, kiedy lud wiejski garnął się do pasterza i wzamian za jego wielkie serce prostymi słowy błogosławił jemu i jego idei wielkiej, i żołnierzom, i Polsce.

A co najbardziej chwytało za serce, to ta prostota bezgraniczna, ta skromność wprost bezprzykładna u księcia Kościoła. To, że pan i prostaczek miał zawsze przystęp do niego — to, że, jak dobry pasterz, troskał się o każdą i najdrobniejszą owieczkę, przywiązało serca żołnierzy i ludności do niego na zawsze, pozostawiło pamięć po nim najwdzięczniejszą, cześć i uwielbienie.

Mecenas Rudnicki w przepięknej stylizacyi polskiego marzenia i tęsknoty witał księdza biskupa w Piotrkowie, jako „duchowego prymasa Polski“ w ciężkiem jej, lecz pełnem nadziei dzisiejszem „interregnum“. Nazwanie przepiękne — słuszne i zasłużone, ale jeszcze niepełne. Ksiądz biskup Bandurski, to nie tylko duchowy nasz prymas w dobie dzisiejszej, ale i najszlachetniejszy „pasterz kmiotków“, wódz-kapłan wojującej Polski. *—icz.*

Z minionych walk.

Niedawno odbyła się na froncie dekoracya porucznika artyleryi Wierzbickiego, który został odznaczony za dzielne zachowanie się wobec wroga w czasie pamiętnej bitwy pod Użokiem. Nadsyłając nam fotografie z tej uroczystości, jeden z towarzyszów odznaczonego oficera, podaje ciekawe szczegóły o samej bitwie, pisząc między innemi:

Jednym z owych bohaterskich epizodów walk minionych na terenie galicyjskim, była bitwa pod Użokiem dnia 24. września 1914. roku. Ogromna nawała nieprzyjacielska uderzyła w te strony. Użok stał się dla nas drugiemi Termopylami. Mniejsza o ofiary, pozycya musiała być utrzymaną za wszelką cenę. Garstka naszych stoczyła tu zażarty bój, broniąc każdej piędzi ziemi do ostatniego. Chlubna rola przypadła tu i naszej artyleryi, która zwalczać musiała nietylko wroga, ale i nadzwyczajne trudności



Odznaczenie w szpitalu polowym 3/10: Odznaczeni podoficerowie. Od lewej ku prawej stronie: sierżant Karol Pelc, podoficer rachunkowy Kazimierz Szybowicz, sierżant Michał Gribitz i plutonowy Franciszek Arnold.

terenu, oprócz tego zadaniem jej było jak najdłużej zatrzymać gęste masy nieprzyjacielskie, prące jak lawina naprzód. Rosyanie, zasypani literalnie kartaczami, pokotem się kładli, ryk armat i wrzawa szturmujących głuszyły słowa komendy. Kanonierzy nasi podwajali się i potrajali, dla nich nie było już odwrotu.



Z minionych walk: Defilada przed dekorowanymi.



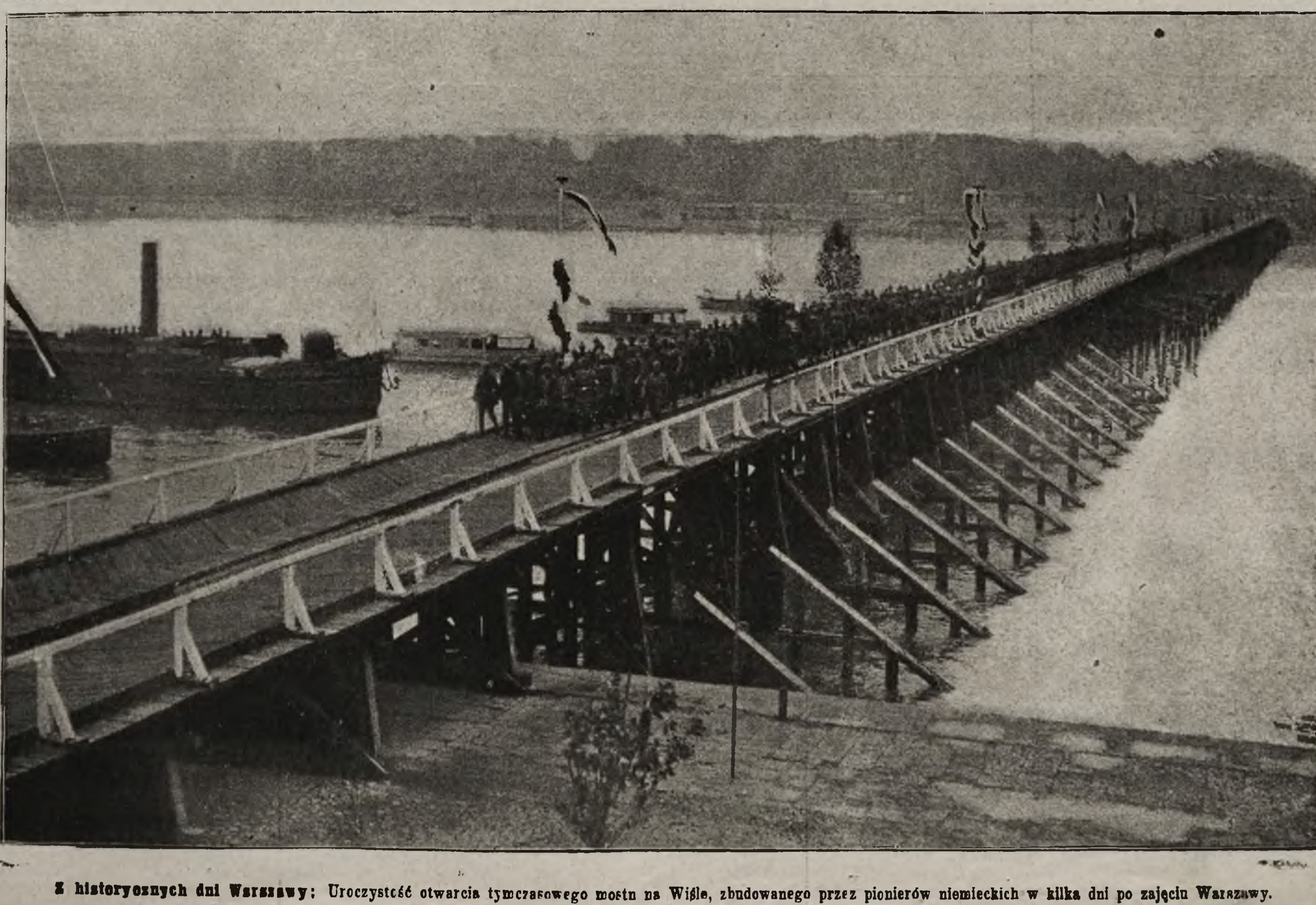
Z historycznych dni Warszawy: Ogólny widok mostu Poniatowskiego (trzeciego) po wysadzeniu go w powietrze przez Rosyan.

Wiedzieli o tem wszyscy, że przyjdzie spełnić swą żołnierską powinność i spełnili ją do ostatniego ze swoimi oficerami na czele. Chlubnie zapisała się tu baterya dzielnego kapitana Brabeka 32 pułku polnej artyleryi. Obok swego komendanta stanęli porucznicy: Dostal, Godowski, Wierzbicki i Cywiński. Ich nadzwyczajnemu męstwu i bezprzykładnej pogardzie śmierci Rosyanie złożyli krwawą hekatombę. Baterya spełniła świetnie swoje zadanie. Niedawno obchodzono też uroczystość dekoracyi jednego z nich: porucznika Władysława Wierzbickiego, Tarnowianina. „Signum laudis" zdobi dziś piersi tego dzielnego żołnierza, który tam wśród największego ognia, dostarczając amunicyi swej bateryi, utrzymał ją do ostatniej chwili w jej akcyi. Fotografie przedstawiają właśnie uroczystość wręczenia mu medalu za waleczność

Akcya oświatowa w Królestwie Polskiem.

Wśród obecnej pożogi wojennej, która ogarnęła całą Europę, Królestwo Polskie przedstawia istotnie obraz niezwykły. Wśród zgliszcz i nędzy, nieledwie w ogniu walki, kwitnie tam twórcza praca dla przyszłości, budowa oświaty, którą rząd rosyjski, w ciągu całego okresu swej gospodarki, zwalczał, jak najgroźniejszego wroga. W zniszczonych przez wojnę miejscowościach powstaje dziś tam szkolnictwo polskie, a jak radośnie przyjmuje ten fakt ludność miejscowa, wymownie świadczy pełna entuzyazmu korespondencya z Pińczowa, którą nadesłano nam wraz z zamieszczonemi w dzisiejszym numerze fotografiami. Czytamy tam dosłownie:

„Od wczesnego rana ruch jakiś niezwykły w całej gminie pińczowskiej. Gospodarze, kobiety, dzieci, w strojach narodowych spieszą do kościoła. Jakgdyby w święto... A przecież to sobota, 15 stycznia, dzień powszedni. Nie! to wielkie święto w gminie pińczowskiej, w której przez sto lat za czasu niewoli mos-



Z historycznych dni Warszawy: Uroczystość otwarcia tymczasowego mostu na Wiśle, zbudowanego przez pionierów niemieckich w kilka dni po zajęciu Warszawy.



Odznaczenie w szpitalu polowym 3/10: Przemówienie szefa sanitarnego do odznaczonych oficerów. (Fot M. Gottman)

Banderya chłopska krakusów eskortuje gości z miasta. Jadą pułkownik Dobiecki, komendant obwodu, starosta Różecki, inspektor szkolny Taras, chorąży Starzyński, oficer Legionów.

Wieś ustrojona w zieleń i w barwy narodowe. Zebrani wszyscy sołtysi, wójt, włościanie i dzieci. Orkiestra gra. Nauczycielka p. Piątkiewiczówna wita komendanta obwodu chlebem i solą, ks. wikary Brylski poświęca izbę szkolna, przystrojoną portretami, zielenią i chorągwiami. Przemawiają kolejno pułkownik Dobiecki, ks. Brylski i inspektor Taras. Tłomaczą zebranym potrzebę szkoły, do tego szkoły ojczystej. Odpowiada wójt w imieniu gminy i nauczycielka Piątkiewiczówna, a dzieci składają podziękowanie wierszami. Wszyscy, wzruszeni do głębi tym niezwykłym obchodem, rozchodzą się do domów, pełni nadziei w lepszą przyszłość."



Szlakiem bojowym Legionów: Odpoczynek na pozycyi



Akcya oświatowa w Królestwie Polskiem: Powitanie przedstawicieli władz przed nową szkołą we wsi Kopernia pod Pińczowem.

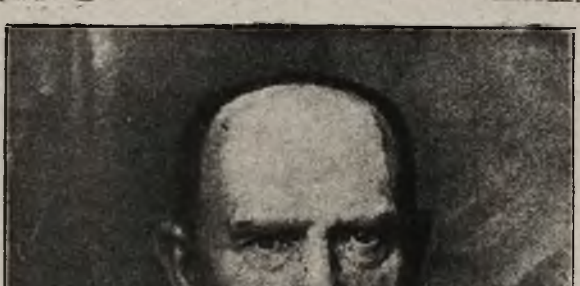
Odznaczenie w szpitalu polowym 3/10.

O ile odpowiedzialne i ciężkie są obowiązki lekarza wogóle, o tyle trudniejsze zadanie ma służba lekarska w polu. W warunkach najtrudniejszych, nieraz w obliczu nieprzyjaciela, niemal w ogniu walki muszą lekarze i personal pomocniczy nieść pierwszą pomoc rannym. Za tę zaszczytną i ciężką pracę przy szpitalu polowym 3/10 najwyższem cesarskiem rozporządzeniem odznaczeni zostali: komendant szpitala, chirurg, lekarz sztabowy dr. Tokarski (oprócz otrzymanego już poprzednio krzyża rycerskiego orderu Franciszka Józefa), lekarz pułkowy dr. Weiler oraz nadporucznik Jan Ž Č — signum laudis, kapelan polowy ksiądz Jan Bargieł — krzyż zasługi II. klasy dla duchowieństwa, akcesista apteczny Bergl — złoty krzyż zasługi, podoficer rachunkowy Kaz. Szybowicz, sierżant Karol Pelc i Michał Gribitz — srebrny krzyż zasługi z koroną na wstędze medalu waleczności, oraz plutonowy Fran. Arnold — srebrny krzyż zasługi na wstędze medalu waleczności.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy fotografie, przedstawiające uroczystość dekoracyi odznaczonych.

kiewskiej nie było ani jednej szkoły, a dziś otwarto już siedem szkół polskich. Uroczyste poświęcenie jednej z nich, a setnej w powiecie, odbyło się właśnie teraz we wsi Kopernia.

W kościele liczna gromada dzieci i rodziców. Nauczycielstwo, przedstawiciele władz, legioniści. Po Mszy św. ks. dziekan Aksamitowski przemawia do dzieci — poczem zbierają się wszyscy w Kopernii.



Z historycznych dni Warszawy: Niemiecki jeneralgubernator warszawski, jen. Beseler.



Akcya oświatowa w Królestwie Polskiem: Grupa uczestników uroczystości otwarcia szkoły polskiej we wsi Kopernia pod Pińczowem. Siedzą od lewej ku prawej po: kierow. szkoły Piątkiewiczówna, ks Brylski, pułk. Dobiecki, starosta Różecki, insp. szkol Taras. (X) Chorąży Leg. Starzyński, (XX) wójt Jan Chwaliński.

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

30

— Do dowodu pewnego, piśmiennego, jak to już panu mówiłem i podpisanego przez pana. Nie pora już na rozmowy i długie układy. Nigdy jeszcze tyle nie mówiłem, co dzisiaj i teraz ja czuję się znużonym. Widziałem się już ze starym Jakóbem i panią Lorange, dozorczynią z ulicy Temple. Zdaje mi się, że to są pana znajomi?

— Wiem tylko jedno — wyrzekł nagle Delrue drżącym głosem — że na żadne pytania nie odpowiadam, nic nie rozumiem i nic nie podpiszę!

Allan wzruszył ramionami.

— Mój kochany chłopcze, jak się wpadło w fałszywe położenie, trzeba się starać z niego wydostać. Daję panu środek do tego. To jest pana zysk. I zdaje mi się, lepiej jest przyznać swój błąd i powiedzieć prawdę w liście temu nieszczęśliwemu Kermorowi, który panu wybaczy, tak jak i ja. Czy pan woli, żeby kiedy w przystępie gniewu głowę panu roztrzaskał. Uczynimy odpowiedzialnym za całą tę machinacyę barona de Bressien, a przecież teraz nie potrzebuje go pan oszczędzać, skoro gra pan przeciw niemu.

Delrue milczał namyślając się głęboko. Głos Allana stawał się coraz bardziej przekonywającym.

— Ma pan wszystko do wygrania, nic do stracenia. Niech się pan namyśli. Jeżeli ofiaruję większą sumę pieniężną pana przeciwnikom, oni pana wydadzą, obarczą wszystkiem. Ryzykują tylko dłuższy pobyt w więzieniu. W razie potrzeby załagodzę bankructwo pana Lorquerel'a, chociaż o tę przysługę on pana osobiście prosi... inaczej wytoczy panu przed prokuratoryą proces o fałszerstwo.

— Ah! co za życie — jęknął Delrue.

— Zapewne! Lepiej być uczciwym człowiekiem, wierzaj mi pan. Mniej się ma trosk, a więcej korzyści. Czy muszę panu przypomnieć, że w mojej mocy jest w jednej chwili zniszczyć pana materyalnie, albo nawet zgładzić ze świata? Do woli. No, nie potrzebuje pan uciekać. Ja tylko tak mówię. Posłuchaj mnie pan: Kopalnia „Golden" ma wartość fikcyjną. Niech pan przypuści, że wychodząc ztąd, udaję się prosto na przeciwko, do pałacu Giełdy i powiem to wszystkim, jak to już powiedziałem markizowi de Kermor. To dla pana ruina zupełna. W tych akcyach niema luta złota, jest tylko reklama.

— Pan jest tego pewny, Panie Allan?

Allan raz jeszcze wzruszył potężnemi ramionami i zaśmiał się głośno.

— Znam kopalnie dostatecznie, mój przyjacielu. Zbogaciłem się na nich i utraciłem zdobyty majątek. Ale to jest bez znaczenia dla mnie. Ale coby pan powiedział, gdybym teraz spokojnie roztrzaskał panu głowę za zhańbienie nazwiska mojej siostrzenicy, Janiny le Brenn? Za te potworne pana kombinacye i fałszywe zeznania uczynione Henrykowi de Kermor? Czy pan nie sądzi, że sąd, złożony z dzielnych i uczciwych ludzi, ułaskawiłby mnie zupełnie?

Mówiąc to Allan wyjął z kieszeni niewielki rewolwer i zaczął się mu uważnie przyglądać.

— Jedenasta godzina — rzekł po chwili. — Cóż pan postanowił, panie Delrue?

Delrue usiłował powstać z fotela, lecz opadł bezsilnie, jęcząc cicho:

— Niech pan robi ze mną co chce... Nie bronię się... Pan wie o wszystkiem, jestem w pana mocy. Czuję, że walka pomiędzy nami nierówna. Jestem najnieszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Miej pan litość!... Bressien mnie teroryzował i trzymał w ręce tak, jak pan teraz...

— Teraz on będzie zależnym odemnie — szepnął głucho Allan. — Bądź pan szczerym, panie Delrue przynajmniej raz w życiu. Zapłacę za to, stosownie. Dwa razy tyle co baron. Czy dosyć?

Włożył rewolwer do kieszeni i podszedł do Andrzeja Delrue, który już od chwili oddychał swobodniej.

— Chcę wszystko wiedzieć — rozkazał Allan — Mów pan! Co zaś do barona, to sam się z nim rozprawię. Pan nie potrzebuje się go już lękać! Wiele pan żąda. Milion wystarczy?

— Milion — wyszeptał Delrue. — Oh! będzie pan wszystko wiedział!

Chciwy Delrue sądził, że wyzyska więcej, ale i ta suma była wystarczająca na zabezpieczenie sobie przyszłości. Co zaś do Allana ten nieczny handel nie wzruszał go bynajmniej. Przeprowadzał korzystną sprawę dla siostrzenicy swojej i Henryka de Kermor. Wiedział teraz, że młody człowiek może zostać zwolnionym z danego słowa, wobec jawnej podłości przyszłego swojego teścia.

Delrue opuścił głowę na ręce i wsparł się wzruszony i osłabiony o biurko. Zduszonym głosem przystąpił do swojej spowiedzi, którą niecierpliwy Allan stenografował słowo, po słowie, na wyjętej z notesa ćwiartce papieru. Od czasu do czasu spoglądał na złamanego swojego przeciwnika i uśmiech tryumfu rozjaśniał jego surową twarz.

Delrue mówił:

— Przyznam się do wszystkiego... Wie pan już o tym nieszczęsnym kwicie, o tym lekkomyślnym uczynku mojej młodości. To jedno mnie zgubiło i zaważyło na dalszem mojem życiu. Byłem wówczas w rozpaczliwem położeniu, w nędzy ostatniej, bez żadnej nadziei na przyszłość... Collin-Megret wyeksploatował tę pierwszą moją winę. Stałem się jego ofiarą, jego niewolnikiem. Przyjaźń Henryka de Kermor uwolniła mnie co prawda z pod jego wpływu, ale nie na długo. Żałuję dzisiaj, że nie zwierzyłem się Henrykowi. Ale ponieważ ten łajdak wiedział, że tego nie uczyniłem, zaprzedał mnie z duszą i ciałem temu drugiemu nędznikowi z bulwaru Haussmanna.

Sydonia obiecała mi pół miliona franków za usunięcie przeszkody do jej małżeństwa z Henrykiem, w osobie Janiny le Brenn. Ojciec jej popierał ją. Dostałem zawrotu głowy na myśl ostatecznego wyzwolenia i zgodziłem się. Zhańbić młodą robotnicę w oczach moich nie było jeszcze zbrodnią. Wszystko miało się ograniczyć do komedyi rozmyślnie zainscenizowanej dla zmylenia przekonań hrabiego. Jeżeli sprawa postąpiła dalej, to już bez mojego współudziału. Porwanie Janiny musiało być ułożone pomiędzy doktorem Magnusem a panią Wiktoryą. Nie przyłożyłem ręki do tego. Chciałem tylko przekonać Henryka, że Janina nie jest godną jego miłości, tak przez życie swoje, jak i urodzenie. W tym celu kłamałem, pokazałem mu sfałszowany przezemnie list Janiny. Cel tego kłamstwa wydawał mi się dobrym, tak samo środki, jakich użyć musiałem. Niech pan zrozumie, że pragnąłem się za wszelką cenę rehabilitować... straciłem głowę... stałem się płatną rzeczą barona i jego córki... oni doszli w swojej zuchwałości do tego, że zażądali odemnie zupełnego usunięcia Janiny, zamordowania jej.

Ja na to się zgodzić nie chciałem i stąd ich straszna nienawiść. Tak, panie Allan, przysięgam, że baron de Bressien i panna Sydonia zażądali odemnie zamordowania pańskiej siostrzenicy. Gdyby nie ja, nie żyłaby już dawno.

Delrue, przedstawiając się w roli obrońcy, kłamał, aby się przekonać, czy tajemniczy wypadek nocny z ulicy Entrepôt był znanym Allanowi i czy Henryk de Kermor w tym wypadku zwierzył się mu. W tem wyjaśnieniu leżało całe jego niebezpieczeństwo. Allan pisał, zastanawiał się, badał twarz opowiadającego, jakgdyby chcąc stwierdzić, co jest prawdą a co kłamstwem, ale milczał nieprzenikniony i surowy. Po skreśleniu całej genezy swojej zdrady, Delrue zapuścił się w szczegóły, nie śmiejąc spojrzeć w twarz słuchającego.

— Dobrze — wyrzekł w końcu Allan — Rozjaśnijmy teraz to wszystko. Przypuszczam, że panu nieobcą jest stenografia? Tak. To doskonale. Proszę zatem przepisać to na czysto. Pozwoli pan, że siądę przy nim i pomogę mu w tej pracy.

Odłączył jedną zapisaną kartkę i podsunął ją Audrzejowi. — Tylko proszę pisać czytelnie — rozkazał — i bez opuszczenia choćby jednego słowa. Potem zechce pan podpisać. To nie wielki trud dla pana.

Pomimo ładnej sumki jaśniejącej w perspektywie, Delrue uczuł nagły napływ buntu, ale prędko stalowe, zimne spojrzenie Allana przygasiło to uczucie. Powrócił więc do posłuszeństwa i pochylił głowę nad biurkiem. Zaczął szybko pisać równem, czytelnem pismem nieszczęśliwe swoje zeznanie, starając się już o niczem nie myśleć, jak o nagrodzie, czekającej go przy końcu tego wyczerpującego wypracowania.

Allan, siedząc obok, kopiował również zapisane kartki. Kiedy już Delrue miał tylko podpis swój do umieszczenia na papierze, mimowoli zatrzymał się, lecz spojrzenie śledzącego go Allana pokierowało jego piórem.

— Ja już skończyłem — zauważył Allan. — A pan?

Delrue podał drżącą ręką akt, podpisany jego nazwiskiem.

— Ma pan ładniejsze pismo odemnie — rzekł jeszcze Allan, przeglądając uważnie zapisane ćwiartki. — Tak, to dobrze, to to, co mi potrzeba. Jestem panu wdzięczny, panie Delrue.

Schował dokument do portfelu i wyjął z niego czek na 200.000 franków, który podał młodemu człowiekowi.

— Staraj się pan na przyszłość milczeć i unikać spotkania się ze mną. Mogłoby to się stać niedobrem w skutkach dla pana. Jak pan widzi, jestem solidnym człowiekiem w interesach i nie lubię żartów.

Odwet.

Allan nie wsiadł do automobilu, lecz natychmiast udał się do najbliższego biura telegraficznego.

— Proszę nadać spiesznie to wszystko — rzekł do zdziwionego urzędnika wobec niebywałych rozmiarów mającej odejść depeszy.

— To będzie wiele kosztować — zauważył.

— Wszystko mi jedno — brzmiała stanowcza odpowiedź Allana. — Proszę dobrze zapisać: Kermor Brazzaville.

— Może pan być spokojnym. W tak kosztownej depeszy nie może być mowy o pomyłce.

Urzędnik liczył słowa, a Allan przez ten czas wyjął z portfelu kilka banknotów i położył je na okienku.

— Nazwisko nadawcy? — zapytał urzędnik.

— Towarzystwo kolejowe „Allan".

— Najmocniej pana przepraszam — wyrzekł zmieszany urzędnik.

— Za co?

— Że ośmieliłem się mówić o kosztach depeszy.

Allan uśmiechnął się.

— Zdaje się, że nie mam tutaj opinii żebraka — pomyślał — a jednak byłem nim przez większą połowę mojego życia i stanę się nim znowu za kilka dni.

Opuścił biuro telegraficzne i wsiadł do automobilu.

— Mój przyjacielu — rzekł do szofera — skompromitujesz mnie, jeżeli przed godziną dwunastą nie staniemy przed pałacykiem na ulicy Beotic. — Markiza gotowa pomyśleć, że wybrałem rozmyślnie tę godzinę, w której porządni ludzie jedzą śniadanie.

Szofer przyspieszył bieg maszyny.

— Nie wierzysz? — zapytał, śmiejąc się, Allan.

— Nie, panie.

— W takim razie pozwolę się zatrzymać na śniadaniu, jeżeli mi obiecasz, że dziś wieczorem jeszcze dowieziesz mnie do Bretonii. Inaczej będę zmuszony udać się tam pociągiem.

— Będziemy dziś w Bretonii.

— Doskonale, mój chłopcze.

Oczy Allana rozbłysły zadowoleniem. Lubił szybką, szaloną jazdę po szerokich drogach, czując się dziwnie skrępowanym na ulicach miasta, pełnych ruchu i gorączkowego zgiełku.

— Jestem pewny — odezwał się jeszcze szofer — że dojedziemy do celu przeznaczenia, zanim pociąg pospieszny wyruszy z dworca Montparnasse.

— Doskonale — powtórzył Allan — ale zdaje mi się, że tymczasem nie dojedziemy nigdy do ulicy Beotic. Wleczemy się jak żółwie.

Gdy automobil stanął przed pałacykiem Kermorów, Allan zauważył, że o kilka kroków dalej oczekiwał drugi automobil, jeszcze wspanialszy od jego.

— Nasza maszyna wygląda, jak wózek tragarski przy tamtym — rzekł Allan wysiadając. — Ciekawy jestem, czyja to własność.

Gdy Allan wszedł do przedpokoju, służący oznajmił mu, że markiza wyszła i nie miała powrócić, aż w porę śniadania.

Pani de Kermor również dowiedziała się z dzienników o zamordowaniu biednej Elizy, córki starego tragarza i wzruszona nieszczęściem jego, pobiegła czemprędzej do niego ze słowami współczucia i pomocą.

W buduarze markizy już od pewnego czasu oczekiwała na jej powrót panna Sydonia de Bressien. Jej to automobil stał przed bramą pałacu. Ją także zaniepokoiła wzmianka dziennikarska o Barykadzie, którego znała z opowiadania Andrzeja Delrue.

Skorzystawszy z polepszenia zdrowia barona, który po dłuższem wypoczynku w posiadłości swojej w Blois le Roi, powracał do Paryża, wyprzedziła go w drodze i pierwszą jej myślą było odwiedzenie markizy, gdzie, jak sądziła, będzie się mogła czegoś dowiedzieć o swoim narzeczonym.

W nieobecności pani de Kermor, służba, wtajemniczona w plany małżeńskie młodego hrabiego, uważała ją prawie na równi z panią domu i jej to służący, który wyszedł na przyjęcie gościa, wręczył bilet wizytowy Allana.

— Poproście tego pana do dużego salonu — rozkazała Sydonia. Ogromna ciekawość i zaniepokojenie owładnęło nią.

— Z czem ten pan tu przychodzi? — myślała przechadzając się nerwowo po buduarze markizy — Wczoraj dzienniki donosiły, że wmieszany był w sprawę

z ulicy Temple, dziś przychodzi tutaj? Ciekawy zbieg okoliczności. Gdybym tak spróbowała dowiedzieć się coś od niego? Użyję wszelkich sposobów, aby go obłaskawić, chociaż ci amerykańscy milionerzy, to podobno wszyscy, ludzie bez wyższego wychowania i subtelności.

Z błyszczącemi gorączkowo oczami weszła do salonu, gdzie oczekiwał Allan. Na widok tej wspaniałej, wyniosłej kobiety, ubranej z wytwornym smakiem, z chmurą rudawych włosów, rozwianych nad gładkiem jak marmur czołem, Allan doznał olśnienia:

— To ona! — pomyślał.

Przeczucie nie myliło, że tą istotą mogła być tylko Sydonia de Bressien, niebezpieczna dla urody swojej i majątku.

Powstał i skłonił się przed nią z uszanowaniem. Twarz jego wyrażała podziw i żal.

— Taka piękna, a taka przewrotna! — pomyślał — Szkoda! Mogłaby na całe życie przykuć człowieka do siebie!

— Mojej kochanej mamy niema jeszcze — rzekła Sydonia uśmiechając się uprzejmie — ale wkrótce powróci. Przyszłam dotrzymać panu towarzystwa.

— Za wcześnie nazywasz markizę de Kermor „mamą"! — zauważył w duchu Allan.

— Może to niegrzecznie — odezwał się głośno — ale postanowiłem doczekać się powrotu pani de Kermor.

Baronówna w niedbałej pozie usiadła na fotelu i spojrzała zachęcająco na gościa.

— Pozwoli pan, że mu czas postaram się skrócić rozmową?

Allan skłonił się i wypalił szorstko:

— Nie trzeba nic rozmyślnie skracać w życiu, szczególniej czasu, który mógłby się pomścić za to.

Sydonia zbladła lekko.

— To szczególne! — pomyślała — zdaje mi się, że już gdzieś widziałam tego człowieka... kiedyś, dawniej... dźwięk jego głosu, nie jest mi obcym... i te oczy badawcze, surowe... Kto jest ten Allan? Muszę o nim pomówić z ojcem..

Roześmiała się lekko, ironicznie.

— Byłabym pańskiego zdania — rzekła wyzywająco — gdybym dzisiaj nie wyczytała ciekawych rzeczy w dziennikach.

— Tak? — odparł zimno Allan — a cóż to donoszą dzienniki, proszę pani?

— Jest w nich wiadomość o jakimś okropnym apaszu — odpowiedziała Sydonia ze sztucznym wstrętem i odrazą.

— Apaszu?

— Tak. Nazywa się Barykada. Skrócono mu życie, chociaż pan dał mi do poznania, że nie uznaje żadnych skróceń. Nieprawdaż?

— Barykada? Ah! tak, przypominam sobie. Barykada i jakiś jego towarzysz, mały ulicznik! Dopomogłem do schwytania ich, moim automobilem. Zapomniałem już całkiem o tej sprawie.

— Widocznie życie pana pełne jest urozmaiceń — zauważyła Sydonia.

— Niech pani osądzi sama. Interesuję się żywo pewną młodą dziewczyną, bardzo miłą i sympatyczną, o której niestety krążą w Paryżu nie bardzo pochlebne wieści, uwłaczające jej dobremu nazwisku! Ja tym wieściom nie daję wiary. Wczoraj więc przyjechałem do Paryża i rozpocząłem energiczne śledztwo.

— A rezultat tego śledztwa — zapytała Sydonia tknięta nagłem przeczuciem.

— Rezultat mam już w kieszeni — odpowiedział spokojnie Allan — i jest doskonały naprawdę. Ale musiałem pochodzić za tem i tu i tam. Byłem u posługacza, który niegdyś przeprowadzał tę młodą dziewczynę na jej nowe mieszkanie... u dozorczyni domu, pani Lorange, w dzielnicy Temple i na policyi i w więzieniu św. Łazarza, gdzie poznałem pewnego bardzo sympatycznego pana, pana Collin-Megret i jeszcze w drugiem więzieniu kobiecem, gdzie rozmawiałem z byłą właścicielką pracowni kapeluszy na ulicy św. Łazarza, a w końcu u nowego bankiera z placu Giełdy, ogromnie miłego, młodego człowieka, posiadającego niezwykle ładne i wyraźne pismo.

Sydonia w miarę tych słów bladła i drżenie przebiegało całą jej postać.

— Może pani zechce zobaczyć i próbkę tego interesującego pisma? — ciągnął dalej Allan, nie odrywając oczów od jej zmienionej twarzy.

Sydonia milczała, nie mogąc się zdobyć na żadne słowo.

Allan wyciągnął z kieszeni kopię zeznania Andrzeja Delrue i podsunął jej pod oczy.

— Ten głupi papier kosztuje mnie okrągły milion. To wiele zapewne, ale żeby pobić pewną sprawę, kosztującą pięćset tysięcy franków, wolałem dodać drugie tyle. Ale zdaje mi się, że pani niedobrze? Zbladła pani ogromnie. Czy mam przywołać służbę?

Sydonia była bliska omdlenia. Każde słowo Allana godziło w nią, jak nożem. Pomimo całej odporności sił żywotnych i umiejętnego panowania nad sobą, czuła, że dzieje się z nią coś strasznego, że lada chwila usunie się bezwładna u stóp człowieka, który jej przyniosł pewny wyrok śmierci.

Konwulsyjnie uchwyciła się poręczy krzesła. Rozszerzonemi przez strach i zgrozę oczyma wpatrywała się, jak zahypnotyzowana, w pismo Andrzeja Delrue. Litery skakały jej przed oczyma. Podchwytywała niekiedy słowo jakieś, zdanie, a to wystarczało do pognębienia jej ostatecznego. Było tam jej imię, nazwisko ojca, oskarżano ich jawnie, popierając oskarżenie dowodami. Nie było sposobu kłamać, wypierać się. Po raz pierwszy w życiu czuła, że stoi przed czemś, czego całą energią swoją i szaloną wolą życia odepchnąć nie jest w stanie. Andrzej Delrue, który kłamał zawsze dotąd i tem kłamstwem zdobywał sobie stanowisko fikcyjne w życiu, teraz raz jedyny mówił prawdę, straszną, oskarżającą prawdę! Ta jedna chwila miażdżyła ją, niszczyła, wyrzucała poza obręb żyjących ludzi... Sydonia pokonana i złamana pochyliła bezwładnie swoją dumną głowę. Ale równocześnie ogarnęła ją szalona chęć wyrwania tego nieszczęsnego papieru z rąk Allana, podarcia go w strzępy, zniszczenia tego wyroku, który wydano na nią, tak, jakgdyby była uczyniła z niecnym wspólnikiem, gdyby go w tej chwili miała przed sobą!... Instynktownym ruchem wyciągnęła rękę, drżącą tem niezmożonem pragnieniem.

— Och! nie, proszę pani! — zawołał Allan, lekko chwytając ją za ramię. — Niech pani nie rusza tego papieru. Nie jest czysty, a jednak bardzo pragnę go zachować za wartość nieograniczoną, jaką dla mnie posiada.

Uśmiechając się trochę złośliwie, Allan trzymał swój dokument przed oczami bankierówny, nie mogąc oprzeć się chęci napawania się jej porażką. — Mścił się za Janinę, za wszystkie cierpienia, które przeżyła z jej powodu.

— To mnie nic nie obchodzi — rzekła wkońcu Sydonia, powstając z wysiłkiem.

— Naprawdę?

— Zaręczam panu.

— Ma pani słuszność. To nie odpowiednia lektura dla tak młodej osoby, szczególniej dla szczęśliwej narzeczonej.

Allan rozmyślnie położył nacisk na ostatnie słowa z odcieniem ironii i wyzwania.

— Mój Boże — ciągnął dalej — widzę, że naprawdę nudzę panią historyą tej młodej dziewczyny. Ponieważ jednak była ona protegowaną przez markizę de Kermor, przychodzę zasięgnąć od niej pewnych wiadomości w tym kierunku.

— Otrzyma pan jak najlepsze — wyrzekła Sydonia, zmierzając do drzwi buduaru i starając się mówić swobodnym, naturalnym głosem. — Może ją pan poślubić z całym spokojem.

— Ja? — zawołał Allan, udając wielkie zdziwienie.

— A któżby?

— Ja? Alez pani chyba żartuje ze mnie? To nie ładnie z pani strony. Zapomina pani, że jestem już starym człowiekiem. A zresztą musiałbym się starać o pozwolenie. Janina jest córką mojego brata, Iwona le Breun.

— Och! pozwolenie! — rzuciła niedbale Sydonia. Pan jest tak bogaty!

— Jestem rzeczywiście dosyć bogatym, by dobrze wyposażyć moją siostrzenicę, kochana pani. Kiedy się wszyscy dowiedzą, że należy do starej, znanej bretońskiej rodziny i że posiada milionowy posag, nie zabraknie jej, mam nadzieję, starających się o jej rękę.

Sydonia nie mogła już dłużej zapanować nad sobą. Z piersi jej wybiegł okrzyk wściekłości, nienawiści i buntu przeciw losowi i przeciw temu człowiekowi, który drwiący i pewny siebie stał teraz przed nią.

— Och! tak! z pewnością tak! — zawołała, śmiejąc się nerwowo. — Takich, co uganiają za posagami, nie brak! Nie potrzebuje pan nawet opuszczać tego domu! Znajdzie pan w nim, czego pan szuka!

Sydonia nie zauważyła w swojej wściekłości, że od chwili w drzwiach od salonu stanęła markiza de Kermor i słyszała te brutalne, obrażające ją słowa.

Lekka bladość pokryła twarz pani de Kermor, a po jej ustach przebiegł uśmiech goryczy i pogardy.

— Przepraszam za opóźnienie, drogi panie — rzekła zwracając się do Allana.

Z gestem najwyższego wstrętu i pogardy wskazała osłupiałej bankierównie otwarte drzwi salonu, mierząc ją spokojnem, zimnem spojrzeniem.

Sydonia bez słowa wyszła, wiedząc, że tu już więcej nie powróci, że to wszystko, co w swojej dumie i pewności siebie zamarzyła, niepowrotnie pozostawia poza sobą.

Markiza de Kermor podała teraz rękę Allanowi, który ją ze czcią ucałował, drżąc z oburzenia powstrzymywanego i podziwu dla tej szlachetnej i dumnej istoty.

Z spokojną powagą pani de Kermor poszła następnie zamknąć drzwi salonu i powróciła do Allana, mówiąc z ożywieniem

— Widzę po oczach pana, że udało się szczęśliwie?

Allan skinął głową, nie mogąc jeszcze mówić ze wzruszenia.

— Cieszę się z tego gorąco — rzekła markiza uśmiechając się — Pan Allan przychodzi do mnie dzisiaj nie oficyalnie, tak jak kiedyś; ale jak stary dobry przyjaciel, po domowemu. To doskonale! Korzystam z tego i zatrzymuję pana na śniadaniu. Teraz pozostawię pana jeszcze na chwilę samego. Pójdę tylko zdjąć kapelusz i rękawiczki.

Mówiąc to markiza skinęła uprzejmie głową i odeszła do swojego buduaru.

Allan potrzebował rzeczywiście bardzo chwili samotności, któraby doprowadziła do normalnego stanu wzburzone jego nerwy. Ten człowiek o żelaznym charakterze zwyciężony był silnem wzruszeniem, jakie go ogarnęło na widok moralnego cierpienia tej kobiety, tak dumnej w swoim głębokim smutku, tak dzielnej wobec otrzymanej, niezasłużonej obrazy. W myślach, widział ją teraz w swoim pokoju pogrążoną w rozpaczliwej boleści, wywołanej brutalnemi słowami, na które nie mogła i nie chciała odpowiedzieć.

A on nie mógł się zemścić, nie mógł jeszcze zniszczyć tej potwornej i zuchwałej istoty!

Markiza powróciła wktótce do salonu, z twarzą na pozór spokojną i pogodną.

Prawie równocześnie wszedł służący, oznajmiając, że obiad podany.

— Czy chce mnie pan poprowadzić do jadalni? — zapytała Allana pani de Kermor.

Na to proste zapytanie Allan zaczerwienił się po czubki siwych swoich włosów. Po raz pierwszy zawstydził się swojej popielatej kurtki.

— Jaka wspaniała pogoda — odezwała się markiza, chcąc gościa swojego wprowadzić w rozmowę swobodną — Po tylu deszczowych i smutnych miesiącach nie miałam już nadziei ujrzenia tego ciepłego, radosnego słońca. Daje mi ono wrażenie, że nadchodzą jeszcze dla mnie lepsze, szczęśliwe dnie.

— Nie myli się pani — odpowiedział Allan wzruszonym głosem — Dnie szczęśliwe nadchodzą właśnie i jeżeli panią nie zwruszy zbytnio, że Henryk wraca do kraju...

— Henryk wraca? Oh! co za radość niespodziewana! Ależ to cud prawdziwy! I pan mi to oznajmia, panie Allan? Czy to możliwe?

— Tak, pani markizo. Dowód jest tu w kieszeni.

— I tego dowodu — podjęła pani de Kermor — użył pan już szczęśliwie?

— Pani markizo, doprawdy niewiem, jak mam to pani wytłumaczyć.

— Właśnie, właśnie żądam wytłumaczenia. Bez tłumaczenia nie chcę w nic wierzyć.

— Czuję się doprawdy upokorzonym, pani markizo. Czy wie pani, jak skorzystałem z pozwolenia bywania w pani salonie. Oto ubiłem w nim sprawę, poprostu sprawę kupiecką, nie zważając, gdzie się znajduję. Czy to nie jest okropne? Pani markizo ludzi takich, jak ja, nie wpuszcza się bezkarnie do siebie. Na wszystkiem muszą zrobić interes.

— A jakże ten pana interes wygląda? — zapytała zaciekawiona markiza.

— Mąż pani, markiz de Kermor, człowiek znający się lepiej odemnie na formach towarzyskich, dał mi do zrozumienia, że Henryk zaangażowany jest honorem wobec barona de Bressien.

— Oh! już nie teraz, sądzę!

— Nie! Nie teraz już i w tem leży cały interes. Ten straszny człowiek byłby mi kazał ładnie zaśpiewać za zwrot tego słowa! Ale pomimo wszystko, byłbym doszedł, do czego zamierzałem...

— Ale zatrzymał się pan, bo panu brakło głosu, czy tak?

— Tak, zatrzymałem się. Szczęśliwa sposobność w formie wspaniałej rudej koafiury nadarzała mi się już i byłbym ją pochwycił i załatwił się z nią należycie, kiedy właśnie pani weszła. Byłem przekonania, że łatwiej dam sobie radę z tą osóbką, jak z jej ojcem.

(Ciąg dalszy nastąpi).





Echa świąt wojennych:

Marynarze Polacy na okręcie „Radetzky" przy szopce w czasie świąt Bożego Narodzenia.

Segregowanie pakunków świątecznych na pograniczu Włoch, na wysokości 2000 metrów.

Echa świąt wojennych.

Przeszło miesiąc upłynął już od świąt Bożego Narodzenia, a wciąż jeszcze płyną ku nam echa tych radosnych dni, które tak wielu w tym roku wielkiej wojny niosły tylko smutek i tęsknotę... Przy stole wigilijnym brakło najbliższych. Jednych już brakło na zawsze, innych zatrzymał ciężki obowiązek w polu. Spędzali święta zdala od swoich, wśród towarzyszów broni — to w cichej nędznej kwaterze, to w ogniu walki, wśród huku armat... Ale i tam nie zapomnieli o nas. Dowodem tego te listy i fotografie, jakie nadchodzą wciąż z frontu z uroczystości dni świątecznych. I w dzisiejszym numerze zamieszczamy te świąteczne pozdrowienia z pola walki od tych, których brakło przy stole wigilijnym, a którzy byli z nami, biegnąc myślą do kraju, do swoich najbliższych.



Z walk na morzu: Krążownik austryacki „Helgoland", który zatopił francuską łódź podwodną.



Z polskich pobojowisk: Ziemia porozrywana wybuchem pocisków austryackich pod Gorlicami.





Echa świąt wojennych:

Segregowanie korespondencyi świątecznej na poczcie polowej Legionów polskich

Wigilia na poczcie polowej Legionów polskich na wschodnim froncie.

Kronika tygodniowa.

Jeśli tak dalej pójdzie w tem samem tempie, będę zmuszony przyjąć sekretarza do załatwiania mych korespondencyi urzędowych i prywatnych, których liczba z każdym dniem coraz bardziej się mnoży. Doszło już do tego, iż zdaje mi się, że jestem autonomicznym urzędnikiem, tyle na mem biurku nagromadziło się zaległości. Zwracałem się już w tej kwestyi do Redakcyi, odpowiedziano mi, że prośba moja nie może być na razie przynajmniej uwzględnioną z powodu braku odpowiednich kredytów. Skąd tu zresztą wziąć sekretarza, skoro wszystko, zdatne do noszenia pióra, „poszło pod karabin". Proponowano mi wprawdzie sekretarkę, Weronisia założyła jednakowoż protest, a od jej orzeczeń niema odwołania, tak, jakby były powzięte na *plenissimum* Najwyższego Trybunału.

Niechaj więc nikt nie gniewa się na mnie, jeśli mu nie odpisuję zaraz, lub jeśli kilku lub kilkunastu osobom odpowiem równocześnie, zwłaszcza, że wiele czasu zabierają mi listy polityczne, którym z natury rzeczy muszę dawać pierwszeństwo.

I tak na przykład w ubiegłym tygodniu musiałem przeprowadzić korespondencyę z królem Mikołajem z Czarnogóry.

Jak Szanownym Czytelnikom już wiadomo, poprzednią kronikę komponowałem w galopie, tak się drukarnia spieszyła. Cały wstęp, w którym zastanawiałem się nad tem, na kogo kolej, był już gotowy, a nawet złożony, a tu czytam w telegramach, że król Mikołaj się rozmyślił i broni nie składa.

Myślę sobie, będzie źle. Ale od czegóż głowa na karku, pióro w kieszeni, a atrament w kałamarzu?... Nie czekając więc, chwytam za pióro i piszę, co następuje:

Odetchnąłem, z serca spadł mi kamień, wagi co najmniej stu kilogramów i to z okładem. Tyle razy zawiodły już moje polityczne przepowiednie, niechaj chociaż ta się spełni. Ja wiedziałem, że Nykita to dobry chłop, który mi krzywdy nie zrobi, ja mu się też odwzajemnię i gdy przyjdzie do rokowań pokojowych, w których rzecz prosta, jako delegat *Nowości Illustrowanych* wezmę osobisty udział (chyba, gdyby Weronisia nie pozwoliła!... przyp. zecera) pogadam z tym i owym ministrem, by obeszli się z nim po bratersku.

A stanie się to niezawodnie już w krótkim czasie, tak przynajmniej powiada *Kuryerek*, a właściwie owa „czarna pani", która zapewnia, że bez względu na to, jaka będzie pogoda, koniec wojny nastąpi najdalej w lutym lub z początkiem marca, przypuszczam, że w tym roku. Coś tam o tem gadał, zdaje mi się, pan Asquith, nie wiem jednak na pewne, gdyż już prawie rok nie miałem odeń listu.

Jeśliby tak było rzeczywiście, święta Wielkanocne mielibyśmy wesołe, czego sobie i całemu światu życzę z serca i na to konto zaczynam odprawiać nowennę.

Bezpośrednio po liście od króla Mikołaja otrzymałem list od króla Piotra, niestety nieopłacony, czemu się jednak nie dziwię, wiedząc, w jakich on jest obecnie przykrych stosunkach.

P. S. Bardzo Pana przepraszam, ale już po wrzuceniu listu do skrzynki pocztowej przypomniałem sobie, że powinno się było na kapercie przylepić markę... Ale ja już całkiem straciłem głowę, zwłaszcza, że mam na karku kochanego teścia wraz z całym żywym inwentarzem i myślę właśnie nad tem, jakby się go najprędzej pozbyć.

Gdybyś wiedział jaką radę, napisz! Ale list proszę opłacić, bo nie mam ochoty ponosić kosztów karnego porta, które u nas ściąga się z całą bezwzględnością".

I na ten list nic nie odpisałem, choć z królem włoskim łączy mnie wspólność losów. Wszak obu nam należy się przydomek pantofla, choć ja jestem taki sobie zwykły pantofel, powiedzmy demokratyczny, on zaś w daleko lepszym gatunku. Wolałbym był zresztą, gdyby był tak przysłał spory kawał weneckiego salami lub bodaj baryłeczkę wermutu, coś bowiem niedomagam na żołądek, prawdopodobnie z powodu tego, iż piwsko, choć zdrożało, jest coraz gorsze, a skutek po niem, niczem po gorzkiej wodzie.

Cieszy mnie jednak, że moje oryentacye polityczne zyskały uznanie i patrzę z dumą na innych mych kolegów po piórze i nożycach. Bo proszę mi pokazać drugiego dziennikarza, już nie mówię w Krakowie, ale w całej Europie, któryby był na tak poufałej stopie z głowami koronowanemi i zostawał z niemi w ciągłej korespondencyi. Zastanawialiśmy się też nad tem, czyby z tego powodu nie należało podnieść prenumeraty na *Nowości illustrowane*, daliśmy sobie przecież spokój. Skoro wojna ma się już skończyć, jak z tego wszystkiego widać, wytrzymamy jakoś. Wówczas ogłoszę tak zwaną „pstrą księgę", która będzie zawierać wszystkie moje polityczne korespondencye z czasów wojny, nie ulega też kwestyi, że w roku przyszłym otrzymam nagrodę pokojową z fundacyi Nobla i, kto wie, czy nie wygram na loteryi.

Wówczas, znów wedle wskazówek *Kuryerka*, zacznę jeść tylko kawior, który jest bardzo pożywny, tak jak gęsia wątróbka, mózg cielęcy i nerki, dziś mnie na to nie stać. Jako jednak człowiek obdarzony bujną fantazyą, jedząc suchy chleb, wyobrażam sobie, że on jest posmarowany kawiorem lub czemś równie dobrem, a wychodzi mi to na zdrowie, mało bowiem kosztuje i żołądka nie obciąża.

A żołądek to grunt, niech się serce przed nim w kąt schowa. Co wart dziś człowiek najbardziej nawet uczuciowy, jeśli przy tem cierpi n. p. na katar żołądkowy? I to sobie właśnie chwalę, że, jak dotąd przynajmniej, Weronisia pod tym względem stara się o mnie należycie i mogłaby niejednej małżonce posłużyć za wzór. Muszę otwarcie powiedzieć, drogą *via* żołądek zdobyła moje serce, nie myślę więc wcale o rozwodzie z nią. Niechaj sobie żyje spokojnie aż do samej śmierci, a i potem nie umiera i niech tak dalej dba o mnie jak dotąd.

Z tego powodu nowa matrymonialna oferta, którą otrzymałem aż z Berna, nie może być uwzględniona, zwłaszcza, że odnośna osoba nie posiada wcale warunków na kochającą żonę, ma bowiem książeczkę kasy oszczędności tylko na dwieście koron. Co zaś warta miłość za dwieście koron?

Pisze także, że ma „duże włosy", które w ciężkich czasach sprzedać można (zapewne przyprawiany warkocz!) i posiada „wszystkie zęby".

Ja wolałbym żonę nawet i łysą i bez zębów, byle tylko miała więcej koron. Odważną być także nie potrzebuje, gdyż cnota ta powinna zdobić nie ją, lecz męża. I Weronisia jest odważną, a cóż mi przyjdzie z tego? Nieraz muszę z tego właśnie powodu szukać jakiegoś bezpiecznego odcinka!...

Ostatecznie dajmy jednak spokój polityce i sprawom matrymonialnym, mógłby bowiem ktoś jeszcze posądzić mnie, że rzeczywiście jestem łasy na wdzięki płci nadobnej, a zanotujmy najważniejsze zdarzenia z ubiegłego tygodnia, które odbiły się przedewszystkiem na naszej kieszeni.

W pierwszym więc rzędzie zniesiono nam białą kawę i ograniczono sprzedaż wódeczności, podrożały też i bilety tramwajowe z chwilą otwarcia nowej linii, numer szósty, która ma podobno ważne znaczenie strategiczne, ma bowiem bezpośrednie połączenie z odcinkiem „pod Palmą" i tamtejszymi rowami strzeleckimi. Wobec tego i firma Wentzla stara się o to samo, co gdy się stanie, cały już krakowski Rynek będzie podrutowany niczem stary garnek.

Brakło nam także w ubiegłym tygodniu chleba, choć karty były, potaniała zato cielęcina i wieprzowina, ale tylko „podobno", gdyż nie wpłynęło to dotąd ani na wielkość porcyi w naszych restauracyach, ani na cenę.

Zagadki do nagrody.

Szarada.
Ułożył H M, Kraków.

Pierwsza jest zwyczajną głoską,
Wie to nawet każde dziecko!
W fizyce *drugie* stan ciała.
Mitologię bierz, nie włoską,
By znaleźć *całość*, lecz grecką,
Będzie to fatyga mała.

Łamigłówka.
Ułożył H. M, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą moment decydujący z obecnej wojny.

O—o
m—k
O—a
k—t
I—o
m—r
E—i
c—r
a—h
r—ś
S—n
o—h
A—a
d—r
e—a
I—n
n—s
a—a
r—w
a—a
s—n

Zagadka rachunkowa.
Ułożył H M., Kraków.

Podane cyfry tak poprzestawiać, aby suma w każdym szeregu pionowym i poziomym, oraz wzdłuż obu przekątni wynosiła 65.

1	2	3	4	5
6	7	8	9	10
11	12	13	14	15
16	17	18	19	20
21	22	23	24	25

Zadania do przestawienia.
Ułożył H. M, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

J! J.! Zapisz ród apasza, olej z ank, psa i capa!

Łamigłówka geograficzna.
Ułożył H. M., Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą nazwę jednej ze stolic europejskich.

— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Zamek polski 2. Rzeka na Bałkanie 3 Półwysep w Azyi. 4. Rzeka polska. 5 Miasto w Rosyi 6. Miasto czeskie. 7. Miasto na Litwie. 8. Rzeka we Francyi.

Szarada.
Ułożył St. Ekier z Krakowa.

Jak *z — pierwsza-druga* zawisła nad nami
Ta wieść, że *całość* wnet będzie zniesiona;
Wspak piąte-czwarte sądu znów echami
Łez się wypełnią, dostarczy ich „strona".
Trzecie też w prośbie słychać indzi żałość:
„Na miłość Boga... zostawcie nam *całość!*"

Okienko.
Ułożył W B., Kraków.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły trzy wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a a a a
a e e
e e f f l
l r r
s n n w ż

Znaczenie wyrazów: 1. Rzeka w Azyi Mniejszej. 2. Przyrząd fizyczny. 3 Transport paszy.

Zadania do przestawiania.
Ułożył H. M., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Zła szabla wcina żelazo. Szukaj! Is!

Zadanie do przestawienia.
Ułożył H. M., Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Pies J. szczeka, bo złapał bobra na miednicy. Łby mają, a potoną.

Bilety wizytowe.
Ułożył R. Królicki, Krościenko n. D.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

ZIMEK TRYNP.

A. M. SYROPIER.

N. I. ZAKRZEDIN.

A. TATALIPSKI.

I. KARLINEK.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Ilustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 4.

Grzebieniówka:

A n a b a p t y ś c i
r r r a w r
b e n r i t
e n i y n y
l d k f i s
a a a a a z

Szarada: Odwaga.

Trójkąt magiczny:

S c h u b e r t
C i e s z y n
H a l i n a
U m b r a
B u t y
E m s
R a
T

Zadanie do przestawienia: Szkoda, przygoda do mądrości droga.

Przysłowiówka: Co wolno Jowiszowi, nie wolno wołowi.

Kwadrat magiczny:

K o r e k
o m e g a
r e w i r
e g i p t
k a r t y

Zadanie do przestawienia: Tak krawiec kraje, jak mu materyi staje.

Okienko:

A s q u i t h
s l a
q i l
u l i k s e s
i s z
t e k
h a l s z k a

Zadanie do przestawienia: Zapomniała krowa, iż cielęciem była.

Zadanie do przestawienia: Żal po niewczasie na nic nie zda się.

Bilety wizytowe: Radca cesarski. Organista Docent uniwersytetu. Naczelnik sądu Profesor gimnazyalny.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mroz Wiedeń, S. Wiewiorowski Poznań, R. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M Kowalska Kraków. J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A Waga Kraków, K Langer Berno, S. Wolańska Przemyśl, R. Królicki Krościenko n D, Z. Szymanek Nowy Sącz, M. Birkenmajer Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymała **M. Sokołowska, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 85 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Między przyjaciółmi.

— Wiesz, Kaziu, że dla tej Wandy to jestem prawie na pół zwaryowany!
— To ożeń się z nią!
— E... przecież ci mówię, że jestem na pół zwaryowany dopiero!

Dobry kupiec.

Pan Abeles, ma zięcia, który, wedle powszechnego zdania, jest znakomitym kupcem, stawiają go też wszystkim za wzór.

Pewnego razu zauważył stary Abeles mimochodem, że po jego śmierci otrzyma zięć cały jego majątek, który wynosi przeszło pół miliona guldenów...
— Nu — robi na to uwagę spadkobierca — przy natychmiastowej wypłacie dałbym ojcu pięć procent kasa skonto...

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 2 (dom własny) — Telefon Nr. 381.

C. SZCZURKOWSKI

Kraków, Grodzka 2

poleca:

Wełny, Włóczki do robót drutowych, Wyroby z wełny, to jest **Pończochy**, Rękawiczki, Cwetery i t. p.

KALENDARZ PRAWNICZY

z raptularzem na rok 1916

zawierający dokładny wyciąg nowej ustawy stemplowej opuścił prasę. — Format kieszonkowy. Cena w zdobnej płóciennej oprawie K 3·—. Za nadesłaniem K 3·20 lub za zaliczką wysyła

Księgarnia D. E. Friedleina

Kraków, Rynek 17.

7

(Kto ma wrażliwy brzuch) i cierpi na zatwardzenie niechaj nigdy nie używa silnie działającego, drażniącego kiszki środka przeczyszczającego, lecz tylko Fellera łagodnie działających, nieszkodliwych pigułek rumbarbowych z marką „Elza". One sprawiają lekki stolec, bez drażnienia kiszek i są najprzyjemniejszym środkiem przeczyszczającym. 6 pudełek za 4 kor. 40 hal posyła franko jedynie prawdziwe, aptekarz E V FELLER, Stubica. plac Elzy Nr. 127 (Kroacya). Rownocześnie można zamówić 12 flaszek Fellera kojącego ból fluidu z marką „Elza" za 6 koron franko, gdy się chce mieć w domu zaufania godny, niezawodny środek. ktory każdy chwali, gdy go tylko wypróbował. *(b)*

Wojenny zegarek i budzik



Najnowszy zegarek wojenny z czterema cesarzami lub podwójnymi cesarskiemi reliefami „Viribus unitis 1914–1916". W stalowej lub niklowej schewce z dobrym werkiem Anker K 5·—, I. jakości kor. 8·—. Radiowy K 10·—. Prawdziwy srebrny K 14 Budzik kieszonkowy K 18·—. Radiowy K 26·—, odpowiednia skórzana opaska na rękę K 2·— i więcej. Branzoletka z zegarkiem niklowym lub stalowym z rzemykami duży format K 6. , radiowy K 10·—, mały format K 10·—, 12·—, radiowy K 15·—, 18·—, z precyzyjnym werkiem Anker K 20·—, 24·—, Cyma K 30. Omega K 50·—. Wojenny budzik „armata" budzi bardzo głośno K 6·—, Wojenny budzik „bęben" bębni marsza generalskiego K 7·—, 3-letnia gwarancya. Wysyłka za zaliczką oraz 60 hal. na porto, także w pole przez **I-szy skład zegarków wojennych**

Max Böhnel, Wiedeń, IV. Margaretenstrasse 27/62.

Oryginalny fabryczny cennik darmo.

5 halerzy



kosztuje karta korespondencyjna, zapomocą której zamawiać można mój główny katalog z 4000 odbitek

Pierwsza fabryka zegarków

Hanns Konrad

c. i k. nadw. dostawca w Brüx Nr. 1289 Czechy

Niklowy zegarek Anker Kor. 3·80, lepszy K 4·20. Zegarek Rem ze starego srebra Kor. 4·80, ze szwajcarskim werkiem Anker K 5·—. Pamiątkowy zegarek wojenny K 5·50. Kieszonkowy zegarek Radium K 8·50, z budzikiem K 24·50, srebrny zegarek K. 8·40. Niklowy budzik K. 2·80. Zegar ścienny K 3·40, zegar z kukułką K. 7·85, zegar z wachadłem K. 9·—. Na każdy zegarek 3 letnia pisemna gwarancya. Wysyłka za zaliczką. Bez ryzyka! Wymiana dozwolona lub zwrot pieniedzy!

— WYROBY KRAJOWE —

Rok założ. 1880. **D. Béze** Rok założ. 1880.

Zakopane, Krupówki.

WIELKI WYBOR PERFUM.

Pamiątki patryotyczne. Wielki wybór biżuteryi francuskiej i fantazyjnej **MOZAIKI.** Prawdziwe granaty.	Wyroby rzeźbione Zakopiańskie. Wyroby **skórzane** Wielki wybór **torebek** damskich.	Wielki wybór **ZABAWEK. Lalki** Krakowianki. **Laski i toporki.** Kartki korespondencyjne illustrowane.

Wielce interesująca

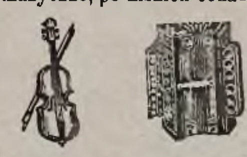
Skrzynka z widokami



z mechanicznym zmieniaczem obrazów **Tylko dla Panów** Do tego **50** bardzo pikantnych zdjęć fotograficznych. Obrazy przedstawiają się **nadzwyczaj pięknie i bardzo plastycznie,** a także przez mechaniczne przesuwanie się obrazow jako pikanterya, panorama ta kupowaną jest bardzo chętnie przez Panow **kompletna panorama wraz z 50 fotografiami** tylko **K 3·50.** -- **Dyskretne wysyłki** tylko wprost za zaliczką przez **M. Swoboda, Wiedeń, III/2, Hiessg. 13-31**

Dobre instrumenta

muzyczne, po niskich cenach.



Skrzypce wielkości 4/4 kor. 6·50, 7·20, 8·20. Smyczki kor. —·90, 1·10, 2·—. Harmonie kor. 3 0, 5 , 11· . Harmonijki ustne kor. —·60 — 80, 1·—, 1.40. Cytry, okaryny, klarnety, gramofony, dostarcza w wielkim wyborze muzyczny dom wysyłkowy

HANNS KONRAD

c. k. nadworny dostawca w Brüx, Nr. 1288 (Czechy).

Wysyłka za zaliczką Bez ryzyka! Zamiana dozwolona Katalogi główne darmo i opłacone

Rowery Ryval



są przecież najlepsze!

K 125 kompletny z torpedem, lampą a etylnową, dzwonkiem, torbą z przyrządami, pompa K 6·—. Płaszcze K 6·50 i K 9·—. Rafy górskie K 12·50 wszystko po cenach fabrycznych. Maszyny do szycia, gramofony, lampy kieszonk. Cenniki darmo.

Specyalny Dom przemysłu rowerowego

G. Wondrak

Wiedeń, III. Hauptstrasse 144.

TABELA należytości sądowych

według rozp. ces. z 15./IX. 1915 oprac. Dr. Z. Grünzweig, adwokat w Krakowie. Format arkuszowy: 48×64 cm. Za nadesłaniem **80 hal.** lub za zaliczką przesyła

Księgarnia D. E. Friedleina

Kraków, Rynek 17.

BOBO PUDER BEZ MĄKI DLA DZIECI



zestawiony na podstawie najnowszych badań nauk.

BOBO chroni skórę przed odparzeniem

BOBO wchłania wilgoć znakomicie

BOBO działa antyseptycznie

BOBO nie tworzy podłoża dla bakteryi, ponieważ nie zawiera mąki (skrobi), która kiśnie. — **BOBO** najlepsze mydło dla dzieci. — Każda matka, dbająca o zdrowie dziecka, używa tylko pudru i mydła **BOBO.** — Proszę żądać we wszystkich aptekach i drogueryach. **Skład: „Pharma", Długa 5.**



500 koron

płacę każdemu, jeżeli

nagniotki

brodawki, skórę zrogowaciałą nie usunie w trzech dniach z korzeniami bez bólu **Ria-Balsam.** Cena 1 słoika z listem gwarancyjnym K 1·—, 3 słoiki K 2·50, 6 słoików K. 4·50.

Kemeny, Koszyce (Kassa), l. fach pocztowy 12—93, Węgry.

KINO-WANDA

przy ulicy św Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Instytut tańców

pod kierownictwem S. Sachsa, solisty teatrów rządowych w Warszawie i Petersburgu, oraz baletmistrza opery lwowskiej.

Teorya i historya tańca w Polsce i Europie.

Nauka tańców:

salonowych współczesnych, narodowych, charakterycznych, stylowych i tańców przyjętych na salonach warszawskich, a dotąd w Krakowie nieznanych.

Oddzielny kurs tańców dla dzieci od lat 10.

Na specyalne żądanie osobne lekcye w Zakładach i Pensyonatach naukowych, oraz w domach prywatnych.

Praktyczny kurs tańca i mowy mimicznej dla osób chcących wstąpić na scenę.

Zgłoszenia przyjmuję: ulica Niecała 4 od godziny 12–1 i od 4–6.

Stanisław Sachs.

Potrzebny uczeń do drukarni i kliszarni Nowości Illustrowanych.

Nowa mapa mieisęczna Nr. VIII.

z oznaczeniem pozycyi wojsk w Rosyi, Francyi, Włoszech, Serbii i Turcyi wraz z Egiptem i Mezopotamią wyszła z druku. Za nadesłaniem **80 h.** wysyła

Księgarnia D. E. Friedleina

Kraków, Rynek 17.